Nr. 7. Poznań, Niedziela dnia 13 lutego 1910. Rok XIV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego **wiersza petytowego. Przy częstszem** ogłaszaniu udzielamy rabatu w stanowieniu:

przy czteroraz (miesięczn.)	„	15%
„ kwartalnem 13 ×	„	25%
„ półrocznem 26 ×	„	33⅓%
„ rocznem 52 ×	„	50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po **40 fen. od wiersza** bez rabatu. **Telefon 97.**

¡Nowość!



Płyty gramofonowe z najnowszemi zdjęciami artystów opery Teatru Polskiego w Poznaniu **już nadeszły!** Utwory solowe, duety, chóry i orkiestry. 266

Proszę uprzejmie o łaskawe przybycie do mego składu celem usłyszenia i przekonania się o ich pięknem wykonaniu.

Bez przymusu kupna!



Gramofony **nadzwyczaj czysto, wyraźnie i głośno grające we wielkim wyborze** po nizkich cenach fabrycznych od 25.00 mk. do najdroższych.

Fonografy znacznie ulepszone już od 3,75 mk. począwszy. *Wałki do fonografów* po 0,60, 0,75 i 1,00 mk. za sztukę poleca:

„CAMERA" (Z. Śniegocki) **Pierwszy specyalny skład gramofonów i aparatów fotograficznych.**

Poznań, Rycerska 37. Telefon 2359

A. Szmytkowski

Telefon 17. **Pniewy (Pinne.)** Telefon 17

Destylacya. Fabryka likworów i araków.

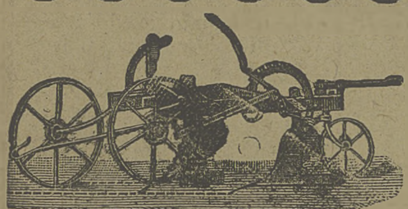
Specyalność:
Jubileuszówka, Jagodówka,
Gdańskie wódki,
Nalewka wiśniowa, Nalewka pomarańczowa,
Nalewka śliwkowa.

Premiowane złotymi medalami.

Nowość: 63
„Hetman", staropolski likier żołądkowy.
„Ukas", krystalizowana kminkówka.

Skład prawdziwych araków, rumów, koniaków i handel win.

Pługi



dwu- i trzyskibowe pat. Schütz-Bethke najnowszej konstrukcyi. Każdy z tych pługów jest tak urządzony że w razie potrzeby można go użyć jako dwu lub trzyskibowy. Dotychczas sprzedałem ich przeszło 4000, co najlepszem jest poleceniem. 147

Patentowany pług **„FENIX"** piętrowy samochód, do głębokiej órki bardzo rozpowszechniony. Zaleca się lekkim chodem i szybkim a łatwym sposobem ustawiania głębokości órki.

Główny reprezentant na W. Ks. Poznańskie

A. Bryliński w Poznaniu.

Kantor i wystawa wszelkich machin i narzędzi rolniczych, krajowego i zagranicznego wyrobu przy **ulicy Rycerskiej Nr. 14.**

Wielkie składy machin i części zapasowych na placu kolejowym. Własna pracownia do napraw. 147

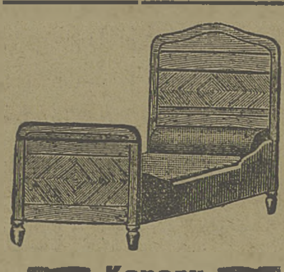
Adres do listów: **A. Bryliński, Poznań—Posen.**
Adres do telegramów: **A. Bryliński, Posen.**
Telefon nr. 69.

Michalina Żuchowska poszukuje 26 **Wojciecha Żuchowskiego i Macieja Gapięskiego** zamieszkałych w okolicach Inowrocławia lub w Poznańskiem. Zgłoszenia do eksp. „Pracy" pod lit. **G. P. 26.**

Ucznia

porządnych rodziców przyjmie 34

M. Stankowski,
zegarmistrz i złotnik
Ostrowo i. P.



Kanapy
garnitur plusz., materace, szezlągi i t. d. wyrabiane w własnej pracowni pod długoletnią gwarancyą li tylko z włókna indyjskiego.

Meble
szafy, szafki do bielizny, łóżka, stoły, krzesła, lustra itd. po rzeczywiście nizkich lecz stałych cenach poleca

Fr. Krzyżagórski

Poznań, św. Marcin 5/6, obok kościoła.

Wyprawy całkowite jaknajtaniej

Zasada: Większy obrót, mały zysk. 500

Usługa skora, towar rzetelny.

Baczność!
Jedyny polski

zakład fotograficzny
w Poznaniu 103
w ręku fachowca.

J. STOLSKI

Poznań, ul. Szeroka 20 parter.
Telefon 790.

SPECYALNOŚĆ:
Portrety w wykonaniu artystycznem.



Firmy szklanne

głoski każdego rodzaju oraz **wszelkie napisy, reklamy i medale.**

Z. Antoniewicz, Poznań

Chwaliszewo 58. **Telefon 2527.**

Kosztorysy i szkice bezpłatnie. 307

Chleb Ceres

nabyć można w każdym handlu wiktualnym.

11

Specyalność:

Wybornego smaku swojski śrótak.

Brazylia. Informacyi o tym kraju udziela autor **„Przewodnika dla wyjeżdżających do Brazylii"** za nadesłaniem dwóch marek pocztowych jakiegokolwiek kraju.

Adresować: **Fel. Bern. Zdanowski, Wien VIII/2, Laudongasse 57.**

Nr. 7. Poznań, dnia 13 lutego 1910 r. Rok XIV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 Telefon Nr. 97 Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Także reforma.

Niemieckie przysłowie mówi: „Was lange währt, wird gut.“ Niestety nie można tego powiedzieć o wymyślonej przez p. Bethmanna-Hollwega i jego ministeryalnych współpracowników reformie pruskiego systemu wyborczego. Prawdą jest tylko, że długo było trzeba czekać na realizacyę zapowiedzianej przez mowę od tronu obietnicy — to wszakże, co rząd pruski ludności jako projekt reformy zaprezentować się odważył, nie jest tego rodzaju, aby mogło za dodatni nabytek uchodzić.

Dość wskazać na to, że nowy projekt rządowy zatrzymuje nadal dotychczasową nierówność głosów wyborczych oraz jawność głosowania, aby zrozumieć, że rządowi nie chodziło bynajmniej o rzetelną naprawę niemożliwego pruskiego systemu wyborczego. Nie ulega wątpliwości, że zadanie rządu nie było łatwe. W państwie, w którem rządzi wszechpotężna klika junkierska, broniąca obecnego wstecznego systemu wyborczego jako paladyum nie tylko narodowej i państwowej, lecz przedewszystkiem własnej partyjnej i osobistej wielkości, nie było rzeczą łatwą wypracować przedłożenia, któreby zadowoliło przynajmniej w części najważniejsze potrzeby szerokich warstw ludności. Każde bowiem rzetelne ustępstwo uczynione na rzecz mas ludowych musiałoby wywołać burzę oburzenia u konserwatystów, a nie możnaby mu nawet rokować znaczniejszych widoków powodzenia w izbach ustawodawczych.

Pisząc to, mamy na myśli skasowanie jawności głosowania, bez czego specyalnie w Prusach, gdzie teroryzm wyborczy licznych i potężnych ma zwolenników, nie możemy sobie wyobrazić uzdrowienia systemu wyborczego. Gdyby się nawet dla tego ważnego i podstawowego postulatu znalazła minimalna większość w izbie poselskiej, to więcej jak wątpliwe, żeby izba panów w obecnym jej składzie miała być tak daleko posuniętej naprawie przychylna.

To też przedłożenie rządowe, zresztą zupełnie zgodnie z własnemi rządu na tem polu chęciami i uprzedzeniami, nie tknęło tej bolączki, tak samo jak nie naruszyło zasady nierówności głosów obywateli pruskich, których po staremu na trzy dzieli klasy.

Wobec zatrzymania tych głównych i fatalnych zasad, stabilizowanie bezpośrednich wyborów, co aczkolwiek drobnym bez wątpienia jest postępem, bardzo niewielkie ma znaczenie. Zresztą system pośrednich wyborów nawet w kołach największych zacofańców tylu znachodził krytyków, iż usunięcie go stało się rzeczą naturalną zupełnie. Udogodnia to i uproszcza całą procedurę wyborczą, lecz znaczniejszego wpływu na wynik wyborów mieć nie będzie. Większy natomiast wpływ na wynik wyborów będzie miał ulepszony nieco sposób zliczania głosów, zapewniający przynajmniej to, że mniejszości poszczególnych oddziałów wyborczych przy ustanowieniu ostatecznego ogólnego rezultatu doczekają się sprawiedliwszego niż dotąd uwzględnienia. Dalszą inowacyą masie ludowej przychylną, lubo z punktu widzenia państwa klasowego nielogiczną, a nawet krzywdzącą, upatrywać należy w pewnem okrojeniu wpływów ludzi bardzo bogatych, którzy dotychczas w pewnych okręgach wyborczych wprost stanowili o wyniku wyborów. I tak zawiera nowy projekt przepis, według którego przy tworzeniu klas wyborczych tylko podatki nie przekraczające 5000 mk. mają być uwzględnione. Kto więcej płaci podatków jak 5000 mk., a w tem szczęśliwem położeniu znajduje się w Prusach około 13000 Nabobów, będzie traktowany na równi z tymi szczęśliwcami, którzy tylko 5000 mk. rocznie państwu dochodu dostarczają. Czy środek ten okaże się w praktyce tak skutecznym, jak to niejedni teoretycznie sprawę osądzając mniemają, przyszłość pokazać musi. My po tem urządzeniu nadzwyczajności oczekiwać nie potrafimy. Sądzimy nadto, że to dobre, któregoby się nareszcie po tem okrojeniu wpływów plutokracyi spodziewać można było, zostanie zneutralizowane przez dalsze inowacye projektu, przyznające ludziom, posiadającym dyplomy złożonych egzaminów państwowych, a więc pomiędzy innymi także całej plejadzie wyższych urzędników państwowych i komunalnych, tudzież byłym oficerom i podoficerom jako też całym zastępom osób, będących członkami rozlicznych władz administracyjnych i autonomicznych itd. — prawa głosowania w wyższej klasie wyborczej, aniżeli ich do tego upoważnia kwota płaconych podatków.

Co ten przepis ma za znaczenie dla nas Polaków, zrozumiemy, jeżeli sobie

uprzytomnimy, że my bardzo mało mamy osobników, którzyby warunkom tego przepisu sprostali, a otoczeni jesteśmy całą armią takich dygnitarzy niemieckich, począwszy od wysłużonych feldweblów, którzy w młodości nierzadko gnój nakładali, skończywszy na najwyższych urzędsikach. Jeżeli np. ordynacya wyborcza nie uzna księży naszych, którzy zazwyczaj odbywają studya w seminaryach duchownych, za ludzi akademicznie wykształconych (w Prusach wszystko przecież jest możliwe) — natenczas zostanie mała tylko garstka aspirantów do wyższej klasy wyborczej, składająca się z lekarzy, adwokatów i tych Polaków należących do poszczególnych wydziałów powiatowych itd. W ten sposób moglibyśmy się za nowej ustawy wyborczej ciekawych doczekać stosunków.

Dodajmy jeszcze do tego, że paragraf 5 projektu przewidujący podział obwodów gminnych na t. zw. Stimmbezirke mogące obejmować od 750—3500 dusz, a poznamy, że przepis ten także dla tendencyjnej geometryi wyborczej bardzo jest podatny.

Rozpatrzywszy się w tendencyi swej szerokim warstwom ludności wprost wrogiej t. zw. reformie wyborczej p. Bethmanna Hollwega, należy powiedzieć, że nie zaspakaja ona żadnego z istotnych życzeń sfer ludowych. Daje mało znaczące ustępstwo wyborów bezpośrednich, lecz zachowuje jawność głosowania i akcentuje jeszcze silniej, niż dotychczasowa ustawa, klasowy charakter systemu wyborczego, a co za tem idzie i państwa. Co do nas, to podzielamy najzupełniej zapatrywania tych polityków, którzy radzą tę reformę odrzucić we wszystkich częściach, jeżeli się nie uda przeprzeć przynajmniej zasady tajności wyborów. To powinno być minimum życzeń demokratycznych. Jasna bowiem rzecz, że jawność wyborów zachowana ma być nie z idealnych względów, lecz dla tego, aby módz kontrolować każdego poszczególnego wyborcy czynność wyborczą. To zaś wiedzie na trzęsawiska teroru politycznego i otwiera wrota na oścież wszelakiej korupcyi.

Darmo nikt niczego nie daje: najlepsza nawet gospodyni jedną ręką rzuca kurom ziarna, drugą odbiera im jaja.

* * *

Nie nałowi ryb, kto ma wstręt do zamoczenia nóg.

* * *

Profesor Bernhard

znany ekonomista, zajmujący się specyalnie sprawami polskiemi, wygłosił w Berlinie szereg wykładów. Ostatniemu służyło za temat zagadnienie przyszłości potęgi ekonomicznej Polaków w Poznańskiem i Prusach Zachodnich.

Prof. Bernhard zastanawiał się pomiędzy innemi nad tem, czy i w jaki sposób możnaby zniszczyć potęgę ekonomiczną Polaków i dochodzi do przekonania, że Niemcy, a w szczególności państwo pruskie nie ma środków, za pomocą których dałoby się zniszczyć polską potęgę ekonomiczną. Rozwój ekonomiczny bowiem okazuje się silniejszym, niż wszelkie państwowe zarządzenia. Ponieważ jednak z tego stanu rzeczy powstać może zdaniem prof. Bernharda niebezpieczeństwo polityczne, gdyż Polacy, ekonomicznie możni i jak państwo w państwie zorganizowani, mogliby się stać w krytycznych dla Niemiec-Prus czasach narzędziem w ręku obcych mocarstw, przeto, aby temu zapowiedz, radzi prelegent, by państwo uprawiało energicznie wewnętrzną kolonizacyę chłopów niemieckich oraz organizowało tychże skolonizowanych chłopów w spółkach.

Prof. Bernhard jest zdania, że jeżeli się uda te dwa środki do pomyślnego dowieść końca, natenczas w przeciągu 50 lat powstanie na kresach potężna, niemiecka warownia, której żadna słowiańska fala zmieść ani zniszczyć nie zdoła. Prof. Bernhard mniema, iż sprawa kolonizacyi wewnętrznej rozstrzygnie o losach i przyszłości państwa pruskiego i dla tego, że nie wierzy, aby się można w inny sposób z Polakami uporać, ten rodzaj kolonizacyi gorąco poleca.

Dodać jeszcze wypada, że prof. Bernhard, analizując nasze siły ekonomiczne i badając źródła naszej ekonomicznej potęgi, zmuszonym się widzi wyznać, że rozwój nasz dokonuje się na zdrowych i solidnych podstawach, że organizacya kapitału naszego jest jednolita i wzorowa a przedewszystkiem znakomicie dopasowana do warunków i stosunków, w jakich nam żyć przychodzi. Powiększające się wciąż sumy oszczędnościowe, złożone w spółkach polskich są rezultatem pracy i zapobiegliwości Polaków w kraju oraz skutkiem polepszonych w obu prowincyach stosunków ekonomicznych, są także plonem pracy robotników polskich, wychodzących na robotę do Niemiec.

Przechodząc do kwestyi robotników polskich, zaznacza prof. Bernhard, że jestto zagadnienie pierwszorzędnej dla niemieckiego rolnictwa wagi.

Rolnictwo niemieckie bez tych robotników obyć się nie może, przeto musi ich zatrudniać, a więc płacić ich i bogacić. Ponieważ krajowy robotnik polski na rynku pracy ma pozycyą bardzo korzystną, a w czasach zastoju w przemyśle łatwo znajduje zatrudnienie na roli, przeto mniej jest narażony na bezrobocie aniżeli robotnik niemiecki, który rolnych zajęć nie chętnie się ima. Stąd pochodzi, że dopływu kapitałów, będących rezultatem pracy polskich robotników spółki polskie mają poddostatkiem i nie potrzebują się lękać o zaschnięcie tego źródła.

Bardzo ciekawe jest to, co prof. Bernhard mówi o skutkach należycie przeprowadzonej organizacyi polskiego robotnika. Powiada on: Zorganizowanie polskich robotników rolnych oraz robotników przemysłowych zaważyłoby na niemieckim ruchu robotniczym nadzwyczajnie. Gdyby się jeszcze Polakom — powiada dalej — udało zorganizować polskiego zagranicznego robotnika, natenczas powstałaby z tego tak olbrzymia siła ekonomiczna, że Niemcy musieliby się z nią liczyć i to pod każdym względem. Wskazawszy jednak na niedostateczny rozwój istniejących polskich związków robotniczych, przychodzi prof. Bernhard do przekonania, że tego niebezpieczeństwa Niemcy jeszcze bardzo długo lękać się nie potrzebują.

Życzyć by należało, żeby robotnicy nasi należycie wzięli sobie do serca słowa niemieckiego profesora i wstępowali jaknajliczniej do polskich organizacyj robotniczych. Wogóle wywody berlińskiego uczonego z wielu względów na baczną zasługują uwagę i są tego rodzaju, że tylko ufność we własne siły podnieść muszą. Nader przykre wszakże robi wrażenie to ciągłe zastanowienie się p. Bernharda nad środkami ekonomicznego zgnębienia i zniszczenia nas. Tych środków szukają bezustannie rząd i hakatyści i pienią się, że ich znaleźć nie mogą. Mimo to jednak żądają od nas zupełnie wyjątkowego patryotyzmu państwowego i lojalizmu posuniętego do ostatecznych granic. Czy można dalej posunąć się w faryzeizmie? na to pytanie niechaj sami odpowiedzą.

Niekiedy w gonitwie za szczęściem przeskakujemy przez szczęście i pędzimy dalej .

* * *

Listy od przyjaciół.

W sprawie pensyonatów.

Z prowincyi, 6 lutego.

Ponieważ wiem z doświadczenia, że się pod tym względem wiele grzeszy, może bezwiednie, więc nie będzie od rzeczy, przy zbliżającym się roku szkolnym zwrócić na niejedno uwagę, przedewszystkiem na to, komu dziecko swe w opiekę oddajemy. Młodzież, to nasza przyszłość, i ma być kiedyś naszą chlubą. Ile na nią czyha niebezpieczeństw, o tem pisać nie potrzeba. Życzeniem wszystkic jest, aby w przyszłem pokoleniu naszem w tak trudnych zaiste warunkach chowanem, jak najlepszych doczekać się obywateli, abyśmy pomimo wszystkiego, co przechodzimy, mogli z zadowoleniem na trudną naszą pracę spoglądać. Jeśli ogół gorąco tego pragnie, aby latorośle nasze bujnie się rozwijały, to cóż dopiero mówić o rodzicach, którzy dzieci wychowują lub na wychowanie dawają? To cel ich życia, zabiegów i pracy. Niechże więc rodzice dobrze się rozpatrzą, czy dom, gdzie dziecko swe umieszczają, daje im gwarancyę, że obyczaje nasze, dobry przykład przestrzeganym bywa. Pensyonat zastępuje rodziców, z jakąż więc ostrożnością wybierać takowy trzeba. W własnym i dzieci swych interesie rodzice muszą się zastanowić nad ważnym tym punktem, mianowicie czy dom religijny i czy przedstawiciele pensyonatu dają nam gwarancyę, że dziecku naszemu moralna zguba nie grozi.

O to, zdaje się, mało się troszczymy i byle tylko dom miał imie, choć źle się w nim dzieje, powierzamy dziecko swe ze zupełnym spokojem. Nie mniej ważnem jest, że i o zdrowe odżywianie się dziecka dbać trzeba i nie umieszczać dzieci tam, gdzie tylko zysk gruby chcą mieć. Może niejeden powie: „Przecież ja dziecko tak wychowam, a raczej podstawę taką mu dam, że wystarczy na całe życie.“ Wiele prawdy w tem zdaniu, ale jeśli młodzież nie dobre ma przykłady, odwyknie z czasem od dobrego, a złe sobie przywłaszczy. Przebywając zresztą większą część roku w domu obcym, czyż dziwić się temu można? Przecież to młodzież, która niezawsze widzi przepaść, nad którą stoi! Toć przysłowie mówi: „z kim kto przestaje, takim się staje“. Zachodzimy w głowę, gdy w późniejszem życiu zauważymy wielką obojętność synów naszych co do religii. A czy też postaraliśmy się o to, aby dziecko nasze w katolickim domu było? Rodzice, czy możecie żądać, aby ewangielik dzieci wasze do uczęszczania na nabożeństwo wzywał? .

Nieraz się zdarza, że uczeń symuluje chorobę, aby tylko do kościoła niepotrzebował rychlej wstać. W pensyonacie polskim i katolickim postarają się o to, aby dziecko twoje oddało Bogu co jest boskiego? Nie lepiej dzieje się w pensyonatach gdzie małżeństwa mieszane.

Przypatrzmy się rodzicom Niemcom, czy oni oddawają dzieci do polskich pensyonatów?

Chyba bardzo rzadko. Tymczasem rodzice polscy niekiedy przepłacają nawet, byle syn był w wielkim choć protestanckim domu. Przecież wiedzieć powinni, że oddając dziecko w opiekę w dom polski i katolicki, nie grozi mu niebezpieczeństwo utraty religijnych i narodowych uczuć.

Nikt, a przynajmniej w ostatnim czasie o tem nie pisał, a ponieważ nic nie zmienia się na lepsze w tej sprawie, postanowiłam w imie dobrej sprawy z życzeniem, aby dobry odniosło skutek napisać to publicznie.

Doświadczenie nauczyło mnie, że bracia moi, chowani w odmiennych pensyonatach, bardzo też odmiennych zasad byli w życiu społecznem. Szanownych rodziców proszę, aby gdzie się da złe naprawiali i przy oddawaniu dzieci słowa powyższe rozważyli.

Bardzo proszę, aby i inne pisma artykuł ten powtórzyć raczyły.

Stara Czytelniczka.

Z TEATRU.

Ułani księcia Józefa.

Czteroaktowa komedya ta, przeplatana tańcami i śpiewami, jest wcale zręczną transpozycyą na grunt polski z czasów Księstwa Warszawskiego znanej niemieckiej komedyi pt. Husarenfieber. Gdyby do sztuki tej przyłożyć głębiej skalpel krytyki, pokazałyby się niejedne braki; nie brak tam bowiem momentów, które zdradzają, że to rzecz niemieckiej proweniencyi; nie tylko sytuacye niektóre, lecz wogóle charakterystyka osób wyraźnie trąci niemczyzną. Lecz z drugiej strony potrafił autor rzecz tę tak zręcznie ufryzować po polsku, tyle jej nadał polskiego pokostu, że chętnie mu uwierzyliśmy, że rzeczywiście patrzymy na polskich ułanów i na wykrój polskiego z przed stu laty życia.

Reprezentacya sama wcale dobrze się udała. Szkoda tylko, że mundury ułańskie historycznie nie zupełnie były wierne, że dziarscy oficerowie w ciągłych byli tarapatach, co począć z pałaszami, do których nie nawykli, a już zupełnie rażące było salutowanie bez czapki na głowie, tańczenie z szablą u boku itp. niewłaściwości, których przecież nie trudno było uniknąć. Typu oficera nikt z tych panów występujących w sobotę nie stworzył. Nie stworzył go też p. Werowski, który zresztą grał nie bez powodzenia i dobrze był ucharakteryzowany, czego tak bez wszystkiego nie możnaby powiedzieć o reszcie oficerów. Świetny typ mieszczanina kaliskiego stworzył znakomity w podobnych rolach p. Bogusiński, a także kreacye pp. Kosińskiego, Czerniaka i Justyana uznania były godne. Dziarsko wywiązał się z zadania p. Boroński. Również p. Kęcki, lubo trochę blady, miał chwile bardzo szczęśliwe. Z pań uszczknęły listek wawrzynu panie Sznagowa, Turowiczówna, Sieniawska, a także zakochane w ordynansie (dobra gra p. Ruszczyca) służące pp. Zielińska i Olańska zupełnie były na miejscu. To samo należy powiedzieć o p. Czerniakowej jak wogóle o całej reszcie reprezentantów, których wyliczać nie sposób. Na życzliwą wzmiankę zasługuje jeszcze p. Kopczyński, który ładnym śpiewem przyczynił się do powodzenia całości oraz pp. Faliszewscy, którzy odtańczyli figurę w mazurze.

Publiczność przyjmowała „Ułanów“ z wielką sympatyą tak, że sądzić należy, iż ładna ta i bardzo wesoła sztuczka zapewnione ma u nas powodzenie.

R.

Klasztor OO. Reformatów w Poznaniu.

Skreślił **Dr. Stanisław Karwowski.**

(Ciąg dalszy).

Za przyzwoleniem Bartłomieja Ludwika Glaubicza, dziekana i proboszcza rogozińskiego, dał gwardyan Nowowiejski 28 kwietnia 1774 r. w kościele reformackim ślub Samuelowi Nowowiejskiemu i Felicyi z Kęszyckich Jeziorkowskiej w przytomności brata Felicyi, Moraczewskich, ojca i syna, Biegańskiego i Lipskiego.

W r. 1776 został po wtóry raz obrany gwardyanem *Waleryan Kaute,* za którego ofiarował całą swą bibliotekę klasztorowi *Michał Kociałkowski,* ex-

jezuita, proboszcz swarzędzki, koadjutor kanonii katedralnej gnieźnieńskiej, razem dzieł 61, pomiędzy niemi *Doświadczenia* ks. Rogalińskiego, *Moscovia* Possevina, *Fax Chronologica,* Poezye Sarbiewskiego, *Corpus juris civilis, Codicis Justiniani libri duodecim, Theologia moralis et scholastica* Euzebiusza Amorta, *Speculum Principum, Promptuarium statutorum omnium regni Poloniae* Szczerbica.

Za Kautego przyjęli habit tercyarski pomiędzy innymi Drzewiecki, kanonik kolegiaty ś. Mikołaja, i matka jego, także Estera z Zabłockich Waniewska, a katolikiem został 1777 r. Jan Müller z Odmuchowa na Śląsku.

W r. 1776, dnia 15 listopada zakończył życie w klasztorze poznańskim 85 letni *Franciszek Kowalski,* niegdyś prowincyał niepodzielonej jeszcze prowincyi i komisarz generalny w Małopolsce, który po wzorowem sprawowaniu wysokich swych urzędów ostatnie 30 lat życia przepędził w Poznaniu, przyświecając braciom świątobliwością żywota.

W r. 1776 umarł w dobrach swych Swarzędzu *Teodor Koźmiński,* kasztelanic kaliski, syndyk klasztoru OO. Reformatów w Poznaniu. Na pogrzebie jego w Swarzędzu nieśli OO. Reformaci poznańscy trumnę do grobu, a jeden z nich Benedykt Ruszkowski, kaznodzieja katedralny, wygłosił mowę.

Po Koźmińskim wybrano syndykiem *Władysława Gurowskiego,* marszałka w. litewskiego, brata Brygidy Melchiory Gurowskiej, ksieni owińskiej.

Następca Kautego *Ludwik Wrześniewski,* ex-definitor, wziął się w czasie drugiego swego gwardyaństwa (1778—1781) energicznie do uporządkowania biblioteki. Księgi z polecenia jego oprawiał introligator Maciej Tyralski z Chwaliszewa, który pracując z pomocnikiem w klasztorze, pobierał tygodniowo złoty węgierski prócz wiktu i trunku, pracą zaś kierował ex-gwardyan Waleryan Kaute.

Za Wrześniewskiego zostali tercyarzami Benedykt Wororonowski, ex-jezuita, kanonik łęczycki, proboszcz swarzędzki, z Wilkońskich Korytowska, kasztelanicowa krzywińska, rejentowa Bielińska, Anna Leśniewska, Michał Gościmski, burmistrz chwaliszewski, Józef Konc, substytut konwentu, Franciszka Bieńkowska, Feliks Rożniecki, Eleazar Stobiński i inni.

W r. 1781 znowu dwóch żydów przeszło na katolicyzm. Dwudziestoletniego uczonego żyda Józefa z Główna w województwie łęczyckiem, utrzymywanego przez klasztor poznański kosztem Kajetana Gliszczyńskiego, kanonika katedralnego, przysposabiał przez dwa tygodnie Reformat Aleksy Wierzbiński, kaznodzieja ś. Mikołaja, poczem ochrzcił go w katedrze Umiński, archidyakon pszczewski, nadając mu przytem nazwisko: Michał Chęciński. Chrzestnymi byli kanonik Gliszczyński i pani Pomorska. Uczył się potem konwertyta ślósarstwa na Chwaliszewie, aż pewnego razu nagle, zostawiwszy wszystkie swoje rzeczy i podarki od chrzestnych, zniknął bez śladu.

W tym samym roku innego żyda, Jakóba z Poznania, przygotowywał prze 11 tygodni do przyjęcia chrztu ś. Aleksy Wierzbiński, za utrzymanie zaś w klasztorze płacił Ludwik de Mathy, biskup tanazyeński, sufragan poznański, który go też ochrzcił w kościele ś. Stanisława, nadając mu przytem nazwisko: Ludwik Grudzicki. Chrzestnymi byli Sulkowski, burmistrz poznański, Jasiński, wójt poznański, notaryusz apostolski, i żona Nataliego, drugiego burmistrza poznańskiego. Konwertyta pozostał przez niejakiś czas we dworze biskupa jako krawiec.

W r. 1782 objął poraz trzeci rządy klasztoru *Waleryan Kaute,* ex-kustosz, i jak poprzednio, tak i teraz gorliwie zajmował się biblioteką, księgi oprawiać kazał, sam rejestr ich ułożył i nowe dzieła posprawiał, pomiędzy innemi *Kazania* i *Żywoty Świętych* Piotra Skargi, *Żywoty Świętych* Wielowiejskiego, *Roczniki* Kwiatkiewicza, *Theatrum świata* Rotera w polskiem tłomaczeniu, *Historyą o trzech Hostyach w Poznaniu, Kazania o Sakramencie małżeństwa* Reformata Berarda Żołądkiewicza, *Religią w sporze Rzetelnickiego z Omylnickim* i nne. Wogóle pomnożył bibliotekę o dzieł 60.

Prócz tego Kaute cały dach klasztoru odnowił z pomocą ksieni Gurowskiej z Owińsk.

Za jego trzeciego gwardyaństwa przeszedł na katolicyzm w kościele reformackim 60-letni górnik Jan Schultz z Saksonii, którego klasztor przez cztery tygodnie utrzymywał kosztem kapituły poznańskiej, a uczył Reformat Piotr Druszkowski.

Na mocy legatu zmarłej 1783 r. *Maryanny z Zakrzewskich Zakrzewskiej* z Kiekrza, kasztelanowej kaliskiej, otrzymał klasztor 50 dukatów na msze za duszę jej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości.

— **W sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego** otrzymaliśmy list otwarty podpisany przez szereg pisarzy i artystów polskich, w którym projektuje się, aby zwłoki poety pochowano tymczasowo w Tatrach w pobliżu turni Kościelca nad Czarnym Stawem, gdzie się znajduje w granitowej skale olbrzymia wnęka o ośmdziesięciu metrach wysokości. W tej tatrzańskiej kaplicy postanowiono wykuć w granicie katakumbę, w niej z tegoż granitu olbrzymi sarkofag i całą pieczarę zawrzeć kratą z żelaza lub bronzu i wyciosać do grobowca monumentalne schody. Według projektodawców cały grobowiec może być dziełem kilku miesięcy. Podpisani zwracają się z tym planem do całego społeczeństwa.

— **Na dochód** Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów otrzymaliśmy, od pana dra Zygmunta Celichowskiego z Kórnika 10 mrk., które wręczyliśmy skarbnikowi Towarzystwa p. Kościńskiemu.

— **Zeszłoniedzielna zabawa karnawałowa** „Klubu Muzycznego“ w Poznaniu, urządzona na wielkiej sali Lamberta, miała powodzenie. Tak koncert jak też czteroaktową krotochwilę p. t. „Robert i Bertrand“ odegrano starannie. Wszyscy amatorzy i amatorki wywiązali się z zadania ku ogólnemu zadowoleniu licznie zebranej publiczności. Wyszczególnić należy tak Roberta jak też Bertranda, którzy byli bohaterami wieczoru. Po koncercie i przedstawieniu rozpoczęły się tańce; tańczono zgodnie i ochoczo nieomal do rana.

— **„Straż.“ Chleb dla swoich.** Ogłoszenie drugie z dnia 8-go lutego 1910. Następujący rodacy posiadający zakładowy kapitał znajdą dobre utrzymanie: 1) kupiec żelaza, 2) hotelista i cukiernik (do spółki), 3) spedytor, 4) adwokat. Równocześnie usilnie prosimy towarzystwa przemysłowe i kupieckie, szanownych księży, oraz osoby zaufane — potrzebne w tym przypadku trzy podpisy — podanie miejscowości gdzieby mogli osieść: 1) kowal 5 reflektantów, 2) stelmach 4 refl., 3) rzeźnik 4 refl., 4) piekarz 5 refl., 5) kupiec bławatnik 3 refl., 6) siodlarz 15 refl., 7) krawiec 5 refl., 8) stolarz 5 refl., 9) siodlarz i tapicer 2 refl., 10) szewc 1 refl. chce kupić kilka mórg roli, 11) zegarmistrz 4 refl., 12) kupiec bielizny i artykułów męskich 2 refl., 13) ogrodnik niedaleko większego miasta 1 refl., 14) kupiec kolonialny 2 refl., 15) kupiec cygar i papierosów 3 refl. Poszukują zajęcia: 1) rytownik stolarski, 2) palacz wapna, 3) mistrz ceglarski, 4) dawniejszy organista, dobry strzelec, jako borowy, 5) dwóch gorzelników, 6) dwóch maszynistów. Bliższych informacyi udzieli biuro „Straży.“ Adres Dr. Franciszek Schroeder Poznań — Posen telefon 1640.

Prosimy o 20 fen. w znaczkach pocztowych na odpowiedź.

— **Polier mularski,** biegły w swym fachu, któryby mógł zarządzać na prowincyi budowlą budynków gospodarczych i t. p. poszukuje zatrudnienia. Wykonuje także rysunki budowlane i sporządza wnioski konsensowe. Bliższej informacyi udzielimy interesentom.

— **Prośba.** Były ruchliwy i zasłużony długoletni działacz na obczyźnie, Wielkopolanin, który skutkiem choroby w roku zeszłym wrócił do kraju z rodziną, znajduje się w rozpaczliwem, nędznem położeniu. W prośbie swej tak pisze ów biedak:

„Teraz niestety choroba moja nieuleczalna żołądkowa i sercowa tak się pogorszyła, że zatamowała mi wszelką drogę do pracy narodowej, i tu jako inwalida przy małej rencie miesięcznej ze żoną i sześciorgiem drobnych dziatek spędzam w wielkim niedostatku, nędzy i biedzie ostatnie godziny życia mego. Przeto wyciągam dłonie moje i pukam do serc miłosiernych choć tylko o najmniejsze wsparcie. Szanowną Redakcyę proszę zaś o umieszczenie mojej prośby w łamach „Pra-

cy,“ a może moje żebranie znajdzie zlitowanie nademną i moją familią u serc miłosiernych.“

Od Redakcyi: Z dołączonych do prośby listów, świadectw i t. .d. przekonaliśmy się, iż ów biedak zasługuje ze wszech miar na poparcie, więc apelujemy do serc miłosiernych Szan. Czytelników, prosząc ich o nadsyłanie datków na nasze ręce „Dla biednego inwalidy.“

— **Przestroga!** Baczność robotnicy! Nie wyjeżdżajcie za pracą do Chełmna!

Z fabryki machin rólniczych p. Petersa w Chełmnie (Culm) w Prusach Zachodnich wydalono wszystkich zorganizowanych robotników w liczbie przeszło 70 za przynależenie do organizacyi zawodowej; 60 z nich jest zorganizowanych w Zjednoczeniu Zawodowem Polskiem. Ponieważ robotnicy będą musieli stoczyć walkę o uszanowanie ich prawa koalicyjnego, przestrzega się niniejszem wszystkich poszukujących pracy przed wyjazdem do Chełmna. Leży to bowiem w własnym interesie robotników, żeby nie dawać broni do ręki tym, którzy chcą pozbawić robotników reszty należących się im praw.

Zarząd Centralny Zjednoczenia Zawodowego Polskiego.

— **Donaborów, powiat Kępiński.** Niniejszem proszę Szan. Red. „Pracy“ o kilka numerów „Pracy“ celem zaagitowania za tak pięknem i pożytecznem pismem. „Praca“ powinna być czytaną w każdym domu polskim, gdyż jest po prostu ozdobą każdego domu polskiego; co do treści jest najobfitszą z pomiędzy wszystkich tygodników polskich, a przytem cena przedpłaty tak nizką, że każdy gospodarz ją sobie zaabonować może.

Wincenty Nęcki, gospodarz.

Od Redakcyi: Dziękujemy Szan. Korespondentowi serdecznie za słowa uznania dla „Pracy.“ Staraniem naszem usilnem jest i będzie wiernie służyć społeczeństwu naszemu, w sprawie oświaty, w której przyszłość nasza. Egzemplarze „Pracy“ na agitacyę wysłaliśmy.

— **Ropczyce w Galicyi.** Szanowna Redakcyo! Z powodu choroby przez cały rok nie czytałem „Pracy.“ Myślałem, że przez ten czas pismo się zmieniło, oczywiście sądziłem, że na gorsze, bo to i czasy gorsze, i ucisk większy i większe kłopoty, prześladowania polskich redaktorów i t. d. No, ale chęć przemogła i na rok 1910 postanowiłem zaprenumerować „Pracę“, żeby się przekonać o treści tegoż pisma. I oto dostawszy pierwsze numery na rok bieżący przekonałem się zaraz, że pismo zmieniło się znacznie, ale zmieniło się na lepsze. Jaki tam dobór artykułów, jak pięknie zredagowanych, to mi się dusza raduje przy czytaniu tak pięknych rzeczy.

Chciałem Szanownej „Pracy“ coś donieść z naszej biednej Galicyi, bo że biedna, to nikt temu nie zaprzeczy. Obciążono naszą biedną Galicyę nowemi różnemi podatkami. Ale cóż robić? Trzeba cierpieć. Jedna tylko pomyślna nowina, że ludowcy ogarniają cały ruch polityczny i ekonomiczny w kraju. A to jest bardzo ważna nowina. Ludowcy dążą do oświaty, ludowcy dążą do dobrobytu w kraju. Nie można tego wprawdzie wszędzie widzieć, ale daje się tu i owdzie bystrem okiem dostrzegać. Bo przy pomocy Bożej może przepowiednie różnych poetów i pisarzy ziszczą się w krótkim czasie. Zygmunt Kaczkowski pisze w jednem z pism: „Widzisz hen te chaty daleko, stamtąd wyjdzie odrodzenie kraju.“

Hipolit W.

Od Redakcyi: Ucieszyła nas bardzo powyższa, tak wielce dla nas sympatyczna korespondencya, tym więcej, że pochodzi od Szan. naszego Czytelnika z Galicyi. Z raz wytkniętej drogi nigdy nie zboczymy i kroczyć nadal będziemy śmiało naprzód w myśl słów naszego wieszcza:

„Każda epoka ma swe własne cele
„I zapomina o wczorajszych snach:
„Nieście więc wiedzy pochodnią na czele,
„I nowy udział bierzcie w wieków dziele
„Przyszłości podnieście gmach!“

Nekrologia.

† **Ś. p. ks. Jan Burkert,** proboszcz, umarł dnia 10-go b. m. w Wielkim Łąsku, w 60-tym roku życia. Urodzony w roku 1850, święcenia kapłańskie otrzymał 28-go września 1873 roku, a od roku 1900 był proboszczem w Wierkim Łąsku, przechrzconym na „Gross-Lonsk.“ — **Ś. p. z Dankowskich Maryanna Czachowska,** dnia 29-go z. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 35. — **Ś. p. Antoni Jachimowicz,** dnia 5-go b. m. w Sabaszczewie w 75-tym roku życia. — **Ś. p. Franciszek Baranowski,** pozasłużbowy sekretarz pocztowy z Poznania, dnia 5-go b. m. w Wrocławiu w 57-ym roku życia. — **Ś. p. Dr. Lucyan Ustymowicz,** dnia 5-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Marya Tenestyna Plewczyńska, Siostra Elżbietanka,** dnia 6-go b. m. w Poznaniu w 17-tym roku powołania zakonnego. — **Ś. p. Jadwiga Helińska,** dnia 6-go b. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 35. — **Ś. p. Kazimiera Małecka,** dnia 21-go z. m. w Berlinie po kilkotygodniowej chorobie sercowej, opatrzona św. Sakramentami w 23-ciej wiośnie życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Leonowi G. w B.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale nie powtórzymy korespondencyi, która już była zamieszczona w „Gońcu Wielkopolskim,“ gdyż tylko w wyjątkowych, rzadkich razach ogłaszamy przedruki z pism codziennych.

— **Pani Maryi S. w W.** — W każdej aptece lub też w większej drogeryi.

— **Autorowi „Niefortunnej wyprawy.“** — Nie odpowiada najelementarniejszym warunkom tego rodzaju utworów, dla tego też nie nadaje się wcale do druku.

— **Panu A. Dobr. w K.** — Żądanej powieści nie ma w handlu księgarskim.

— **Pani Wandzie S.** — Odpowiadamy krótko: „nie,“ gdyż nie mamy miejsca (a co prawda i — czasu) na wykazywanie wszystkich wadliwości nadesłanego nam wiersza. Zamieszczamy dwa lub trzy na tydzień, a otrzymujemy — tuziny! Wobec tego tylko odznaczające się treścią i dobrą formą przeznaczamy do druku.

— **Panu Kaźm. K. na obczyźnie.** — Domysł słuszny. Za wyrazy życzliwości dziękujemy.

— **Panu St. Ż. w Dr.** — Można!

— **List reklamacyjny.** — W ostatnim czasie otrzymaliśmy kilka poezyj od jednej z łaskawych czytelniczek, których niestety! nie mogliśmy zamieścić. W odpowiedzi otrzymaliśmy następujący piękny list reklamacyjny:

Srogi Panie Redaktorze!
Sprawiedliwe sądy twoje;
Pozwól niechaj sama złożę
W grób zapomnień dziatki moje,
Niechaj żadna obca ręka
Nie rozrywa ciał ich w szmatki;
Na myśl taką serce pęka —
Zwróć mi, Panie, moje dziatki!
Niechaj sama stos ułożę
I pochodni żar rozpalę;
Sama na stos rzucę — może
Śmiercią honor ich ocalę!

Po otrzymaniu prośby przejętej tak głęboką boleścią odszukaliśmy rękopis i odsyłamy „dziatki“ pod wskazanym adresem — z szczerem życzeniem, by się wychowały zdrowo.

— **Panu Bernardowi G. z W.** — Wiersz Szan. Pana nie będzie drukowany.

Nowe książki i treść pism.

— **Stanisław Celichowski:** Die Bedeutung der Lehre vom adäquaten und vom zufälligen Kauzalzusammenhang für die Frage des Versuchs mit untauglichen Mitteln. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der juristischen Doktorwürde. Poznań 1909. stron 116.

— **„Zjednoczenia,“** organu Zjednoczenia Towarzystw Kobiecych oświatowych na rzeszę niemiecką, wyszedł nr. 2-go na rok bieżący i zawiera następującą treść:

Doniecienia Zarządu. — Sprawozdanie Zarządu Zjednoczenia. — Uczcijmy Chopina. — Z naszego ruchu kobiet. — Z naszych Towarzystw. — Co sprawić do naszych czytelni? — Przegląd czasopism. — Kalendarzyk zebrań. — Od Redakcyi.

— **„Gryfa,“** pisma dla spraw kaszubskich, wychodzącego raz na miesiąc, wyszedł zeszyt pierwszy na rok bieżący i zawiera następującą treść: Gbur kaszubski. — W sprawie pisowni Kaszubskiej dr. Kazimierz Nitsch. — Grafika i pisownia Kaszubska Lewjatan. — Cenowa i wyprawa na Starogard Janowicz. — Z przeszłości kościoła na Pomorzu. — Bajki kaszubskie. — Pieśni kaszubskie podał Franciszek Sędzicki. — Sprawozdania i krytyki. — Od Redakcyi.

— **„Abecadło życia powszedniego.“** Pod tym tytułem rozpoczęły wychodzić w Lipsku w książeczkach pogadanki popularne o najprostszych sposobach uszczęśliwienia samego siebie przez B. L. Kalinę. Dotychczas wyszło 5 książeczek: Nr. 1. O porządnem pisaniu listów. Nr. 2. Co robić, ażeby się ludziom podobać? Nr. 3. Kogo obierać na prezesa i innych członków Zarządu naszych stowarzyszeń? Nr. 4. O podziale pracy. Nr. 5. Bądź ciekawym i badaj. Nr. 6. O jakie towarzystwo starać się trzeba? Cena książeczki 20 fen. Adres wydawnictwa: Biblioteka Ludu polskiego w Lipsku, Querstrasse 12.

— **„Kupca,“** wychodzącego w Poznaniu 1-go i 16-go każdego miesiąca, nr. 3-ci rocznika IV. zawiera, jak zwykle, bogatą i obfitą treść, poświęconą naszemu handlowi i przemysłowi.

Reklamy.

Listy z Wilna.

Wilno, 5 lutego.

(Nowy aparat rusyfikacyjny czyli t. zw. „ziemstwa na Litwie i Rusi“. — „Tolerancja religijna“ w praktyce. — Mankietnicy).

Zapowiadane od tak dawna monstrum czynowniczo — „istinno-ruskiej“ perfidyi — t. zw. samorząd ziemski, którym mamy być wreszcie uszczęśliwieni — przyoblekł się świeżo w formę projektu rządowego. Co do wartości tego „samorządu“ — nie mieliśmy nigdy złudzeń. Zarówno sami inicyatorowie tego projektu, najzacieklejsi reakcyoniści i wrogowie polskiego imienia, wśród których prym trzyma słynny „zbawca“ Rosyi z pod znaku „czarnej sotni“ — kijowski „diejatiel“ Pichno — jak również i specyalny cel tego „samorządu“ — niedopuszczenia Polaków z Litwy i Rusi do Rady państwa, nie pozostawiał żadnej wątpliwości, ze ziemstwa „kraju południowo-zachodniego“ będą tylko nowym **środkiem antypolskim.** Niemniej nie spodziewaliśmy się, aby „samorząd“ ten mogła cechować tak jawna i cyniczna tendencya tępienia polskości za wszelką cenę.

Na wstępie należy podnieść fakt najciekawszy: oto trzy gubernie: **wileńska, kowieńska i grodzieńska,** gdzie nawet najbujniejsza fantazya czynowników nie zdołała odszukać „rdzennych Rosyan“, którychby można obdarzyć specyalnemi przywilejami — **zostały zupełnie w projekcie samorządu pominięte.** Biurokracya doszła widocznie do przekonania, że w tych guberniach najcyniczniejsze krętactwa „istinno-ruskiej“ polityki na nicby się nie przydały — i postanowiła tam samorządu nie wprowadzać. Za to w pozostałych 6 guberniach t. zw. w języku urzędowym „kraju południowo-zachodniego“ będziemy mieli samorząd, jakiego niema chyba nigdzie pod słońcem. Cały bowiem projekt opiera się na ograniczeniach żywiołu polskiego w najdrobniejszych szczegółach.

Zasada wyborcza jest podwójna: narodowościowa i majątkowa, polskich radnych jednak będzie **daleko mniej,** niż przy obecnym systemie nominacyjnym, mianowicie w gub. witebskiej na 55 radnych Polaków 11, w wołyńskiej na 60 — Polaków 12, w kijowskiej na 74 — Polaków 7, w mińskiej na 53 — Polaków 11, w mohylowskiej na 55 — Polaków 11. Prezesami rad powiatowych i gubernialnych lub ich zastępcami mają być **wyłącznie tylko Rosyanie;** tak samo wszyscy zarządzający wydziałami w ziemstwie i połowa członków zarządu musi być **obowiązkowo złożoną z Rosyan,** co się zaś tyczy pozostałej liczby, gubernator na przedstawienie zarządu ziemskiego, wedle zapatrywania (!) swego, będzie miał prawo mianowania Rosyan. Te same przepisy dotyczą wszystkich komisyj, pracujących przy zarządach miejskich!

I to ma się nazywać samorządem! Ale nie na tem koniec. Istne curiosum stanowi w projekcie postanowienie, że przy podziale ludności na kurye narodowościowe, decyzya, kto jest Polakiem należy bez apelacyi do... gubernatora!

Wszystko „po prikazu naczalstwa.“ Dziś w dobie tolerancyi religijnej tak samo, jak za dobrych dawnych czasów mamy znów „prawosławnych“ z rozporządzenia władz rządowo-policyjnych. Korzystając z ogłoszenia ukazu tolerancyjnego przeszło 300,000 eksunistów wyswobodziło się z narzuconych nahajką więzów „cerkwi panującej“ i przystąpiło jawnie do kościoła katolickiego. I oto obecnie, w kilka lat po ogłoszeniu „wolności religijnej“ w państwie — rząd (pod bokiem Dumy!) wydaje rozporządzenie, aby tych wszystkich „odszczepieńców do prawosławia“, którzy nie spełnili „przepisanych formalności“ **nadal uważać za prawosławnych.** Będziemy więc znowu mieli prawosławnych „po prikazu naczalstwa“. Bo co to znaczy w naszych warunkach — spełnienie przepisanych formalności — pouczy najlepiej przykład jeden z tysiąca. Oto mieszkająca w pow. oszmiańskim niejaka T. G. podała w sierpniu roku zeszłego do gubernatora wileńskiego oświadczenie, że pragnie przejść na katolicyzm. Stosownie do rozporządzenia ministra spraw wewn., w ciągu jednego miesiąca od dnia oświadczenia powinna była otrzymać rezolucyę. Czekała jednak na tę rezolucyę nie jeden miesiąc, lecz całe trzy miesiące. Po upływie 3-ch miesięcy, podała zażalenie do konsystorza. Na mocy przepisów prawnych konsystorz zażądał dwóch marek po 75 kop., więc w grudniu r. z. wysłała żądane marki, lecz odpowiedzi do dnia dzisiejszego zniknąd nie otrzymała.

Jedyną odpowiedzią na jej starania było to, że wkrótce po podaniu oświadczenia do gubernatora **zjawiła się u niej policya, zabrała dokumenty,** zażądała nadto metryki jej męża (katolika) i od tego czasu aż dotąd trwa „upominanie“, naturalnie przez policyę, i badanie, czy nie zmusza jej do tego kroku miejscowy ksiądz, albo mąż...

Tak wygląda w praktyce ogłoszona uroczyście manifestem carskim tolerancya religijna w Rosyi!

O ile jednak rząd wszelkiemi sposobami stara się zgnębić katolicyzm i polskość — o tyle benjaminkami jego są... mankietnicy. Zwolennicy „mateczki“ Kozłowskiej, tracąc coraz bardziej grunt pod nogami w Król. Polskiem — tutaj pod opiekuńczemi skrzydłami władz i „istinno-ruskich“ działaczy rozwijają coraz intenzywniejszą działalność. Niedawno otwarto właśnie w Wilnie trzecią kaplicę sekciarzy przy ulicy Pozawalnej.

Uroczystość będzie niemal oficyalna. Przybyli jednak na nią przeważnie.... Rosyanie i żydzi!

Obszerne sprawozdanie z uroczystości pośpieszył podać „Wileńskij Wiestnik.“ Zachwyca się, wychwala pod niebiosa maryawityzm, który zdaniem tutejszych rusyfikatorów, zda się „zdezorganizować“ katolicyzm i zapędzić katolików do cerkwi prawosławnej. To też rządowe ruble płyną obficie do kieszeni przywódców sekciarskich. Ale z pewnością całe „powodzenie“ mankietnictwa w naszym kraju opiera się tylko na kruchym fundamencie tych rządowych.. rubli. Czego nie dokazały nahajki Pobiedonoscewa w ciągu długich lat barbarzyńskiego ucisku, tego z pewnością nie dokonają i przewrotne bałamuctwa apostołów „mateczki“ Kozłowskiej....

Zapomniany lud polski.

Napisał
G. SMÓLSKI.

O ludności polskiej na Górnych Węgrzech mało co kto wie lub też zgoła nic nie wie, a przecież liczba jej jest wcale znaczna, bo wynosząca co najmniej *300,000 dusz* w niemniej jak *157 osadach* rozsiedlonych wzdłuż Beskidow, Tatr i Karpat, ciągnąc się na ich południowych stokach od Śląska aż daleko za Koszyce do rzeki mniejwięcej Topły. Polskie rozsiedlenie obejmuje na północy Węgier *dziesięć komitatow czyli żupanstw,* mianowicie: *Trenczyńskie, Orawskie, Spiskie, Szaryskie, Abanjeckie, Ziemlińskie, Unyskie, Liptowskie, Giemerskie i Zwoleńskie.*

Dzisiejsza ludność polska na południowej stronie Karpat jest tylko szczątkiem dawniejszej polskiej ludności, któ-



Grupa ludu polskiego na Górnych Węgrzech.

ra zajmowała daleko rozleglejsze przestrzenie i prawdopodobnie stanowiła pierwotną ludność tych ziem, skoro o osiedlaniu się Polaków w Górnych Węgrzech zupełny brak wiadomości.

Ziemiami temi władał też Bolesław Chrobry. Części Trenczyńskiego, Orawy i Szaryskiego, położone na północy, należały długo jeszcze do Polski po upadku państwa wielkiego Bolesława a Spiż dostał się Węgrom dopiero w r. 1772 będąc częścią Polski. Później władał Trenczynem, Liptowem i Orawą polski możnowładca *Ścibor Ostaja ze Ściborzyc* „pan całego Wagii“ jako wojewoda z poręki króla węgierskiego Zygmunta Luksemburczyka. Po nim panowali nad Liptowem i Orawą *Korczakowie Komorowscy, Kostkowie Siedleccy i Kostkowie Dubieccy,* rezydujący na zamku orawskim, po których zamek ten przeszedł w spadku po kądzieli na *Turzow* lewockich, pochodzących z Turzow krakowskich, co pośrednio stwierdza łączność tych ziem z Polską.

Lud polski na Górnych Węgrzech, porzucony i zapomniany przez własny naród, żyje w wielkiej niedoli narodowej, narażony z dwóch stron na wynarodowienie, mianowicie ze strony rządu madziarskiego i ze strony sąsiadów-pobratymców: Słowaków i Rusinów, z którymi się styka. Rząd madziarski nie uznaje odrębnej polskiej narodowości, chociaż rządowe konskrypcye z końca XVIII w. odróżniały wyraźnie Polaków. Z tego wynika, iż ludność polska zaliczana ryczałtem do Słowaków i Rusinów, nie używa nawet tej odrobiny praw narodowych, jaką rząd węgierski pozostawił Słowakom i Rusinom. Polacy bowiem w szkole i gminie mogą tylko posługiwać się językiem słowackim lub ruskim, nadto zaś skazani są w kościele na język obcy, gdyż w rzymsko-katolickich kościołach księża są Słowacy, zaś po cerkwiach grecko-unickich księża ruscy, tak, iż wszelkie obrządki kościelne, kazania, śpiewy, spowiedzi i t. p. odbywają się w tych językach, a język polski upośledzony w kościele, szkole i w gminie zniżono do stanowiska grubej wieśniaczej mowy, którą tylko chłopi posługują się w rodzinie i pomiędzy sobą. Język słowacki uchodzi za język pański, za język inteligencyi, dlatego lud polski widząc swą gwarę rodzinną upośledzoną, posługuje się na zewnątrz z każdym obcym równie językiem słowackim. Gwara polska stała się dla ludu rodzajem skarbu domowego, ukrytego w obrębie wsi rodzinnej.

W takich stosunkach zaiste jest bohaterstwem, jeśli lud utrzymał swą mowę rodzinną, lud pozostający bez oświaty i opieki narodowej.

Szczególnie przykre i niewłaściwe są stosunki kościelne. Tu nietylko zagnieździła się słowaczyzna, lecz także nawet czeszczyzna, pozostałości z dawniejszyc czasów, kiedy Słowacy nie mieli jeszcze własnego języka piśmiennego, lecz posługiwali się w kościele i piśmiennictwie czeszczyzną, co mniej-więcej trwało przez lat pół tysiąca do połowy XIX w. i co utwierdziło wpływ czeszczyzny na Słowaczyźnie tak dalece, iż Czesi bez żadnej podstawy zaliczają Słowaków do swego plemienia, chociaż Słowacy we wszystkiem są daleko bliżsi Polakom, co też stwierdza uczony słowacki dr. Gambel, pisząc, iż słowaczyzna powstała na pierwotnym pniu polskim.

Z dawnych „czeskich“ czasów utrzymali się tu i owdzie pomiędzy polskim ludem katolickim czeskie książki do nabożeństwa, a u ewangelików Polaków do dziś dnia są w użyciu, równie



Polacy z komitatu spiskiego.

jak u ewangelików słowackich czeskie pieśni w kościele.

Dziwić się zaiste należy, iż nikt z naszych rzymsko-katolickich dostojników nie zwrócił uwagi kuryi papieskiej w Rzymie na anormalne stosunki panujące pod względem językowym w kościołach gmin polskich. Nie może bowiem ulegać wątpliwości, iż Rzym, gdyby mu wyjaśniono należycie stosunki kościelne na Górnych Węgrzech, przychyliłby się w interesie wiary do potrzeb ludności i usunąłby z gmin polskich słowackich księży, poruczając duszpasterstwo księżom polskim, którzy np. na Orawie położyli niespożyte zasługi około rozszerzenia i wzmocnienia obrządku rzymsko-katolickiego.

Orawa była na pocz. XVII w. zupełnie protestancką. Nie było w niej żadnego księdza katolickiego. Wśród najtrudniejszych warunków podjął wtedy na tej ziemi dzieło kontrreformacyi ksiądz polski z Podhala, mianowicie *ksiądz Jan Czechowicz,* rodem z Ratułowa, koło Nowego Targu w dzisiejszej Galicyi. Z początku zjeżdżał on z Polski na Orawę, odprawiając nabożeństwo i każąc pod gołem niebem, gdyż protestanci zajęli wszystkie kościoły katolickie. Później osiadł na Orawie w nadgranicznej polskiej wsi *Czimkowy,* wziąwszy ją w zastaw, nabywając tym sposobem prawo obywatelskiej nietykalności, przez co uzyskał osobiste bezpieczeństwo wobec prześladowań ze strony protestanckiego wojewody orawskiego, który mu groził karą śmierci. Z Czimkowy prowadził dzieło z wielką gorliwością i z zapałem dalej, a gdy po pokoju zawartym w Lincu (1645) nastały na Węgrzech dla katolików lepsze czasy, przesiedlił się z Czimkowy więcej w głąb kraju, do polskiej wsi *Orawki,* gdzie nabywszy kawał ziemi zbudował sobie dom. Wskutek starań podjętych przez arcybiskupa ostrzyhomskiego, mianował król węgierski Ferdynand III, z domu Habsburgów, ks. Czechowicza proboszczem dla całej Orawy z prawem mianowania licencyatów we wszelkich orawskich parafiach, gdzie przed reformacyą istniały kościoły katolickie. Ks. Czechowicz pościągał z sąsiedniej Polski polskich księży katolickich na Orawę, zakładając najprzód w Orawce dom misyonarski, później zaś stacye misyonarskie w Rabczycach, Klinie Zakamiennym, Łokcu, Niżnej Dubowie, Kubinie i Zaszkowy. Lud, którego polscy księża nauczali w języku polskim, a więc w gwarze rodzinnej — w kościele ewangelickim panowała czeszczyzna — począł tłumnie przechodzić na obrządek rzymsko-katolicki. W Orawie zbudował ks. Czechowicz piękny kościół z drze-

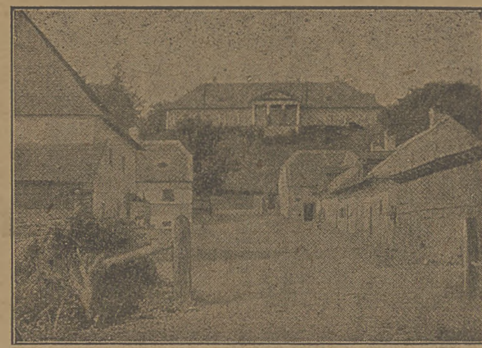
wa, który istnieje dotychczas. Król darował temu kościołowi olbrzymi dzwon. Kontrreformacya robiła nadzwyczaj szybko ogromne postępy — urokiem i siłą słowa polskiego. Pierwsi katoliccy proboszczowie na Orawie w czasie kontrreformacyi byli prawie wszyscy Polacy, jako to: ks. Jan Kwaśniewski w mieście Tekstynie, ks. Jakób Kwaśniewski w Niżnej Dubowie, ks. Wojciech Borowicz w Rubczycnem i inni. Między misyonarzami mieli też Polacy znaczną przewagę. Znajdowali się między nimi: ks. Kołbasowicz, ks. Rozdziełowski, ks. Twardocka, ks. Urbanowicz, ks. Kraiński, ks. Goleński, ks. Jodłowski i inni. Z Górnej Orawy (polskiej części kraju) szerzył się katolicyzm dalej. Po śmierci ks. Czechowicza (w r. 1659) zajął jego miejsce ks. Wojciech Zagórski, który prowadził rzecz dalej z dobrym skutkiem. Następcami ks. Zagórskiego jako proboszczowie w Orawce byli Polacy: ks. Grotkowski, ks. Gawęda, ks.



Stroje niewiast z komitatu orawskiego

Beńkowicz, ks. Turzyński, ks. Pawlicki i ks. Gozda. Dziś Orawa posiada tylko około 8000 protestantów, skupionych w 6 parafiach około miasta Dolnego Kubina, reszta ludności, z wyjątkiem żydów, jest katolicka.

Zdumiewający wynik pracy misyjnej ks. Czechowicza podjęty z zapadłych wsi górskich, da się tylko wytłumaczyć siłą słowa polskiego, trafiającego do serc ludu. Tu odniósł bezsprzecznie rodzinny język polski świetne zwycięstwo nad czeszczyzną. Węgierskie ordynaryaty Biskupie puściły w niepamięć wielkie zasługi księży polskich, położone około katolicyzmu, wydaliwszy polskich księży z Orawy, ustanawiając natomiast dla polskich parafij słowackich duszpasterzy. Stan ten anormalny, sprzeciwiający się inten-



Widok osady polskiej Turzowka w Trenczyńskiem.

cyom Kościoła, przedstawia poniekąd niebezpieczeństwo dla samego Kościoła, gdyż przy takich stosunkach mogłoby każde odszczepieństwo szerzone językiem ludu mieć wśród tego ludu powodzenie. Słyszałem nawet na Orawie, że jakiś wysłannik maryawitów z Królestwa polskiego zwiedzał ten kraj dla poznania stosunków miejscowych.

Po parafiach orawskich utrzymało się dużo pamiątek polskich i polskich zapisków, szczególnie zaś w Orawce, głównej siedzibie ruchu kontrreformacyjnego księdza Czechowicza. Ostatnie zawierają dużo ciekawych szczegółów o kontrreformacyi polskiej.

W naszem piśmiennictwie mało się zajmowano polską ludnością na Górnych Węgrzech. Pierwszy, który u nas dotknął tego przedmiotu, był anonim J. Z. w literackim *„Dodatku do „Gazety Lwowskiej“* w r. 1851. Natomiast o wiele obfitsze są źródła obce. Francuz *Vanel* pisał o Polakach na Orawie już w r. 1686. Pisało też o tem kilku innych pisarzy, lecz wszystko to pozostało głosem wołającego na puszczy wobec naszej bierności i niedbałości. Choć nam przypominano opuszczoną brać na Węgrzech, skutku nie wywarło to żadnego, rzeczy pozostały, jak były. Dopiero wczął się mały ruch, gdy Czesi *Szembera i Poliwka* podjęli na nowo ten przedmiot, podając bliższe szczegóły o polskiej ludności na Słowaczyznie — „klasyczni świadkowie“ ze względu na to, iż Czesi uważają mieszkańców Słowaczyzny jako przynależnych do swego plemienia. Opinia nasza publiczna przyjęła podane przez Szemberę i Poliwkę wiadomości o ludzie polskim jako „zdumiewające odkrycie“, było chwilowo ogromne wrażenie, które jednak prze-



Zamek trenczyński.

szło bardzo prędko a pozostał tylko płomień ognia słomianego. Zapomniano znowu o polskiej ludności na Górnych Węgrzech, pozostawiając ją jej niedoli narodowej. Czesi i Słowacy usiłują przyswoić sobie polską ludność na Węgrzech a u nas wytworzyła się pod tym względem dziwna kurtoazya wobec uroszczeń w szczególności słowackich i tym sposobem nasi „rzeczoznawcy“ powtarzają najczęściej pacierz za panią matką — słowacką. Uznajemy tym sposobem gminy niezaprzeczalnie polskie za słowackie, jeśli u którego z pisarzy słowackich stoi czarno na białem, że to gmina słowacka. Wyjątek chwalebny stanowi w rzędzie naszych pisarzy *dr. Eliasz Radzikowski,* doskonały znawca stosunków po obydwu stokach Karpat. Samoistność jego w tym kierunku wplątała go w żywą polemikę z pisarzami słowackimi, z której on zawsze wychodzi zwycięzko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Teofil Gapczyński.

O Juliuszu Słowackim.

(Ciąg dalszy).

Tu nad grobem noc całą się przemodlił samotny i skarżył się grobowi... Tu przy Grobie Chrystusowym dokonał się w duszy poety doniosły przewrót moralny tak dalece, iż możnaby prawie powiedzieć, że innym tu wszedł człowiekiem, a innym — lepszym — wyszedł. Tu utwierdził się we wierze, tu jego katolicyzm nabrał hartu i „dumy“ — stąd wziął do swej pięknej świątyni poezyi — Boga!

Wracając ze Ziemi Świętej wstąpił Słowacki do Włoch, do Florencyi, do tego grodu, który przez długie wieki był dla świata, dla wszystkich ludów piastunem twórczego artyzmu i tego wszystkiego, co wielkie i zacne, do grodu, który był ojczyzną Danta, Michała Anioła, Giotta, Leonarda, Galileusza. Jeszcze dziś czuje się we Florencyi obecność wielkich ludzi, wiecznie żyjących, choć umarłych od wieków. Od świątnic i pałaców florenckich powiewa duch nieśmiertelnych mistrzów, promienna potęga geniuszów. Florencya, to miasto sławy, nie mogła wywrzeć na poecie silnego wrażenia.

Zaczął pracować, ażeby się znów przypomnieć narodowi, ażeby znów zakołatać do wrót sławy. Tu we Florencyi prócz innych poematów ukończył w prozie biblijnej Anhellego. Pomysł do niego przywiózł z podróży do

Ziemi Świętej. W Anhellim maluje poeta, prócz kilku osobistych aluzyj, najpotężniej najszczytniejszą miłość ojczyzny: swą rozpacz nieskończoną nad nieszczęśliwym losem Polski. Dlatego ten utwór przy swoim arcypięknym stylu biblijnym i przy niezrównanie pięknym języku, ma w sobie coś przerażającego, niezmierzony smutek, wstrząsającą grozę. Mówi poeta o Sybirze, a ma na myśli wygnanie Polaków, polskich emigrantów:

„Azaż każdemu kwiatowi każesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? Dlaczegoż ci ludzie mają ginąć?...“

Chciał poeta przestrzedz rodaków swych, przestrzedz przed sporami i kłótniami, wydarzającemi się wśród Polaków, przebywających wówczas w Paryżu.

„A oto wygnańcy owi... kłócić się zaczęli pomiędzy sobą i podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny....

„A gdy przyszli pod dom wygnańców, usłyszeli zgiełk wielki i śmiech i wrzask i szczękanie kielichów i brudne pieśni; a stanąwszy Szaman pod oknami, nim wszedł do tej jaskini nieszczęścia....

„A podniósłszy Szaman oczy błyszczące, zaczął mówić zapalając się w smutku:

„Cóżeście uczynili?... widziałem waszą Golgotę. Biada wam!

„A nie zostanę z wami, lecz to, co powiem zostanie z wami. Bądźcie potępieni kłótliwi ludzie.

„Wichry rozwiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi, lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą.

„Pomrzecie....

„Zbliża się wielki dzień, a żaden nie dożyje wieczora dnia tego!“

Ten wielki dzień, to dzień zmartwychwstania Polski. Ale tylko prawi i czyści Polacy potrafią się przyczynić do zmartwychwstania Polski; dlatego owym gromadom kłótliwych wygnańców przeciwstawia Anhellego, (anioła) młodzieńca czystego na duszy, nieziemskiej anielskości, tak na przykład mówi Anhelli o sobie:

„jestem czysty na duszy i nieskalany żadnym grzechem podłym“...
a Szaman mówi o nim:

„boś czysty był jak lilija biorąca z wody liście i kolory niewinne, boś mi był jako syn dobry....“

Tacy ludzie tylko mogą ojczyznę odnowić.

Przez cały utwór tchnie nadzieja zmartwychwstania Polski. Dla tego też tak upomina poeta-prorok, by Polacy nie tracili nadziei:

„Ale miejcie nadzieję; bo nadzieja przyjdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; a jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych....

„A to, o czem pomyślicie, wypełni się i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania...“

O tym przecudnym utworze powiada zachwycony Zygmunt Krasiński: „Nie znam nic smętniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego.... Po przeczytaniu tego utworu zapadłem jakby w sen magnetyczny.“ Dzieło to wydawało się Krasińskiemu najpiękniejszem ze wszystkiego, co wyszło z pod pióra Juliusza Słowackiego, tak dalece, że był zdania, iż na pomniku jego winni rodacy ten tylko położyć napis: Autorowi Anhellego.

I tu we Florencyi znów się poeta zakochał nieszczęśliwie w bogatej, pięknej pannie Anieli Moszczyńskiej, podobnej do Maryi Wodzińskiej. Ona niestety albo była rzeczywiście, albo udawała zimną, obojętną wobec Juliusza. Chciał się jej już poeta oświadczyć, ale duma jego na to nie zezwoliła.

W tem uczuciu napisał dwa namiętne, goryczą zaprawne sonety „Do Anieli Moszczyńskiej,“ z których tu jeden przytaczam:

„Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak zhańbioną
Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystem
A ty myślałaś, że ja z tem ognistem
Sercem, nazwę Cię kochanką i żoną?
O, pierwej piekło, niżby moje czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spało!
A, niż całować twe usta rozumne,
I twoje białe, marmurowe ciało
Owinąć ogniem, i żyć z taką skałą,
Jaka ty jesteś zimna! Lepiej w trumnę!!!“

Krótko przed wyjazdem Słowackiego z Florencyi wstąpił tu dotąd w podróży do Neapolu Zygmunt Krasiński, przyjaciel i wielbiciel gorący Juliusza. Te kilka dni, spędzonych z Zygmuntem, były jakby oazą, w której cieniu znajdował ukojenie dla swojej duszy zbolałej.

Ile Słowacki zawdzięczał Krasińskiemu, jak był doń przywiązany, świadczy ów wiersz napisany krótko przed wyjazdem z Florencyi „Do Zygmunta:“

„Żegnaj mi żegnaj, Archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojem sercem czary,
Coś łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświetlił, by nie poszło w trumnę
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne.
Więc gdzieś, daleko, u boskiego celu,

Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba spokojności.
Lecz jeśli ducha nadchodzą morderce,
Lecz jeśli walka jest: dałeś mi serce.“

Wierszem tym, napisanym 4-go grudnia 1838 roku, zamknął poeta swój pobyt w Florencyi.

„Smutno mi i bardzo smutno!“ W tych słowach zamyka się cała psychologia Słowackiego, odkąd, porzuciwszy Florencyę, zawitał na stały pobyt do Paryża.

Pomijam tu nieszczęśliwą i nierozumną miłość do pani Bobrowej, mężatki, która była powodem, że szczęśliwy, tak przyjazny stosunek do Krasińskiego się później prawie zupełnie zerwał.

„Smutno“ mu było, bo teraz dopiero w Paryżu współzawodnicy jego zaczęli go szarpać, gnębić.

Twórczość poety w tym czasie (od r. 1839—40) była wielka.

Wyszły w tym czasie: „Trzy poemata“ — „Dantyszek“ — „Balladyna“ — „Mazepa“ i „Lilla Weneda.“ Powstaje „Beatrix Cenci.“

Nie ustawał w pracy; pisał i pisał, choć znikąd prawie nie otrzymał bodźca. Owszem ówczesna krytyka, jakby się zmówiła, zniechęcała go, obchodziła się z nim nie tylko po macoszemu, ale wprost niegodziwie, co tem boleśniej odczuwał poeta, że przypuszczał jakoby po za całą kliką niechętnych mu antagonistów stał Mickiewicz. Że z tych napaści, ośmieszających go wprost, nie wyszedł zabity na duchu, choć ranny bardzo dotkliwie, to wpierw zasługa miłości jego do poezyi, na której ołtarzu złożył wszystko, nawet miłość własną, a w niemałej mierze zasługa Zygmunta Krasińskiego, który się jedyny poznał na wartości jego utworów i podnosił go na duchu.

Podług Krasińskiego utwory Juliusza były pod względem świetności i piękności wysłowienia szczytem wszystkiego, co wierszem napisano w Polsce. „Nie sposób, pisze Krasiński między innemi, z językiem i wierszem

dokazywać trudniejszych cudów! Chyba Liszt gra, jak on wiersze pisze!

Gdyby słowa języka mogły się stać indywiduami, powinny się zebrać i złożyć na posąg dla Juliusza z napisem „Patri Patriae“ (Ojcu Ojczyzny), bo język wtedy byłby całą ojczyzną.“

Nie dziw, że wśród napaści zgryźliwych Słowacki się czuł podniesionym na duchu, że to o sobie pochlebne zdanie Zygmunta mile przyjął do serca, że je w „Beniowskim“ powtórzył i niejako w twarz rzucił nieprzyjaciołom:

„Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał stworzony głoskami
Z napisem: Patri Patriae.“

Tak głos Krasińskiego, to jedyny promień słoneczny dla zbolałej duszy poety. Jak on głęboko to odczuł, że swoi nie mają dla niego uznania! Wypowiada w „Beniowskim“ swój ból w ten sposób:

„Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo niemam ze szlachetnych;
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mię kochać powinna!“

Ale przebrała się miara cierpliwości Słowackiego wobec niesłusznych, niesprawiedliwych krytyk i napaści. Miał dać nieprzyjaciołom należytą a cierpką odprawę w „Beniowskim.“ Zachęcił poetę do tego Zygmunt Krasiński:

„Julu, zaklinam cię (pisał do niego z Rzymu dnia 23-go lutego 1840 r.) nie dbaj o te gwary, które kiedyś nawrócą się do Ciebie. Trzymaj duszę twoją na kształt harfy eolskiej, wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba: niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi, redakcyę paryskie, zdania, uwagi, rozprawy. Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów,.... więcej jest wątrób na świecie, niż serc, ach! jakże cię wtedy będą rozumiały wątroby!... Rąbać i siekać! A zostawiwszy trupy na placu, znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie!“

I poszedł za radą Krasińskiego i wylał żółć w „Beniowskim,“ poił tą żółcią tych, którzy nie umieli smakować w jego poezyach i siekał i rąbał antagonistów zaciekłych bez litości:

„Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał przywyknąć,
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną
Powracać między gady i nie syknąć.“

„Był czas, żem lękał się pospolitości,
Jako święconej duch się lękał wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości
Dla własnej sławy, pokoju, wygody,
Krytykom jak psom, rzucam kości...
Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino!“

Takiemi i ostrzejszemi wierszami smagał nieuczciwych krytyków. Ale i przeciwko Mickiewiczowi wystąpił Słowacki w „Beniowskim,“ do czego dały powód następujące wypadki.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia wyprawił niejakiś Eustachy Januszkiewicz, człowiek usposobienia fałszywego wobec Słowackiego, udający przyjaciela, ucztę na cześć autora „Dziadów,“ ucztę, na którą zaprosił około 40 osób, a w tej liczbie i Słowackiego. Słowacki poszedł na tę ucztę, ale nie czuł się tu w swoim żywiole, zważywszy, że począwszy od samego gospodarza, prócz kilku życzliwych, wszyscy prawie wrogo byli dla Słowackiego usposobieni. Słowacki siedział milczący, zamyślony, upokorzony, widząc jak oczy wszystkich zwracają się wciąż ku Mickiewiczowi, kiedy na niego nikt nie zwracał uwagi. Namawiano go, by on jako poeta wypił zdrowie Mickiewicza. Słowacki opierał się zrazu, przeczuwając złośliwość i chęć dokuczania mu. Po dłuższem jednak naleganiu powstał, zadzwonił w szklankę i zwracając się do Mickiewicza, blady jak trup, począł głosem drżącym ze wzruszenia improwizować — wierszem.

Zaczął od siebie, żalił się na niepowodzenie swoje w poezyi. Mimo, że mówił „ślicznie,“ choć słowa do najwyższej się wznosiły poezyi — zaczęto szemrać.

Mówił dalej, począł wychwalać Mickiewicza, że „jak Bóg litewski z ciemnego powstał sosen uroczyska“ i t. d. Nareszcie, zdało się, że się upokarza przed Mickiewiczem, gdy rzekł: „Na łodydze mego życia dwa błyszczą kwiaty: jeden niechęci ku tobie: ten więdnieje i opada; drugi przyjaźni: ten rozwija się z pączka. Jakkolwiek nizko zakwita, schyl się, aby go podnieść. Czyniąc to, pójdziesz tylko za przykładem Wojskiego z „Pana Tedeusza,“ w którym tak cudownie opisałeś grzybobranie Wojskiego, który, pamiętaj przez fantazyę czy kaprys kładł do worka różne grzyby i nieraz omijał rydze, a brał muchomory.“

Nastąpiła cisza wielka, uroczysta, bo miała nastąpić walka największych dwóch poezyi polskiej tytanów. Mickiewicz szykował się do boju „już następował z bliska, silny natchnieniem.“ I mówił z natchnieniem wielkiem, mocą i gwałtownością. Mówił o tem, dla czego on ma powodzenie w poezyi:

„Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam:
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.
A jeśli na tym prądzie iskra Boża błyśnie,
Nie wynik to rozumu ani płód marzenia...

ale owoc wiary i miłości, dla tego

Wiedzcie, że dla poety jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga!

Mówił Mickiewicz takim pędem niewstrzymanym, że dech zamierał w piersiach, nietylko poecie, ale i słuchającym.

W improwizacyi Słowackiego było takie mnóstwo girland, tęcz, dyamentów i pereł, że się zdawało jakby „gwiazd niebieskich korzec rozsypał“— a rozsypał je na nieprzyjaciół swoich: Ropelewski, najzaciętszy krytyk Słowackiego — zemdlał, Ludwik Plater płakał, Barzykowski szlochał.

Kto z tytanów zwyciężył? Żaden... Poeci zbliżyli się znów do siebie — ale znów nie na długo.

(Dokończenie nastąpi).

Tadeusz Jaworski.

Wyspiański i odrębność jego dramatyczna.

Staraniem Tow. Przyj. Sztuk Pięknych w Poznaniu odbył się w Muzeum Mielżyńskich wobec bardzo licznie zebranych gości, wykład Ludwika Morstina pod powyższym tytułem.

Jako jeden z nielicznych w Poznaniu zwolenników mistrza podwawelskiego, spieszyłem na salę z zaciekawieniem, walczącem z wątpliwością: czy usłyszę coś nowego, treściwego i ciekawego o tym, o którym dla braku perspektywy historycznej tak trudno powiedzieć ostatnie słowo, a którego imię tak często wyzyskiwano już dla rozmaitych celów? Nie odstraszała mię młodość prelegenta; przecież do młodych wolno mi się jeszcze liczyć. U młodych intuicya, poparta gorącem uczuciem więcej nieraz odgadnie, niż odnajdzie badawczego oko wytrawnego krytyka. Ale — i tutaj

przerywam, aby powiedzieć, że doznałem przyjemnego zawodu.

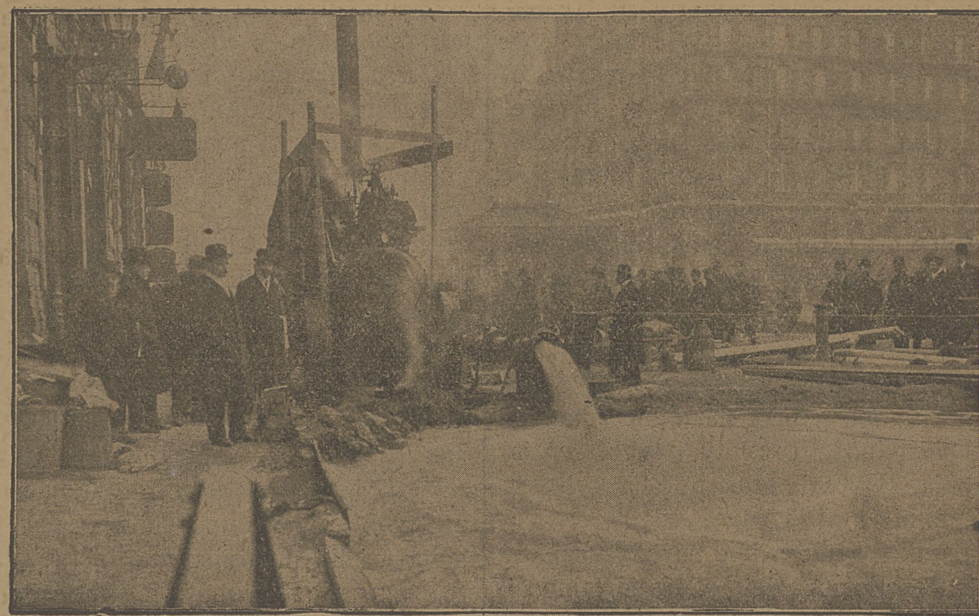
Nie był to sąd tego rodzaju, któregoby prelegent w niczem i nigdy już nie zmienił, nie było to wszechstronne zbadanie i wyjaśnienie dramatycznej twórczości autora „Wesela“. Ale usłyszałem za to piękną wiązankę samodzielnie z mózgu wysnutych, żarem młodego serca przepojonych myśli, które, chociaż nie stworzyły całości, rzuciły jasny, ciepły promień światła na wyniosłą postać wieszcza Młodej Polski. I stanął znów mocą słowa wskrzeszony, ukochaniem młodej duszy z mroków zaziemskich wywołany Stanisław Wyspiański w całym blasku smutnego swego majestatu przed oczyma tych, którzy poznali w nim jedną wieczną prawdę: żywą, twórczą Polskę.

Prelegent na wstępie dotknął powstania dramatu, sięgającego zmierzchu dyonizyjskich tańców, i bezpośrednio przeprowadził analogię z „Weselem“ Wyspiańskiego, gdzie w istocie końcowy obłędny korowód porównanie to nasuwa. To jednakże tylko zewnętrzna cecha, i może tutaj już należało zwrócić uwagę na pierwiastek orgiastyczny, który kojarzy się z spontanicznem wypowiadaniem idei u naszego dramaturga.

W pięknych, polotnych zdaniach skreślił następnie p. Morstin najbliższą ojczyznę — Polskę podwawelską — Wyspiańskiego, jej tło bajeczne, historyczne i współczesne. Tylko na takiej ziemi ten, który rodził się w domu Długosza i od zarania życia patrzał na groby królewskie i Skałkę, na Wisłę, błonia i wzgórza, osnute legendarnym mrokiem, mógł ten pierwiastek bajeczny uważać jako część własnej duszy i kładąc weń myśli nowożytnego poety weń wierzyć.

Na to zgoda. Lecz trudno mi dopatrzeć się łączności filozofii H. Bergsona, czy to jego metody intuicyjnej, czy ewolucyi twórczej z sztuką — jako ideą absolutu u Wyspiańskiego — o co potrącił p. M. następnie. Przecież każdy duch twórczy, każdy artysta sztukę uważa — i to słusznie — jako najwyższy, ostatni wyraz jestestwa. Nie jestto zatem specyalną własnością Wyspiańskiego. Możem zresztą prelegenta źle zrozumiał, ale to jego wina, że myśli swej dostatecznie nie rozprowadził.

W indywidualności twórczej autora „Wesela“ widzi p. M. dwa pierwiastki: gorące ukochanie życia i szukanie jego sił elementarnych, z drugiej strony logicznie konieczną antytezę, wynikającą z elementarnej zasady bytu, ideę śmierci. Ten tragizm, przedewszystkiem w świecie greckim potężnym przemawiający rozdźwiękiem, należało staranniej lepiej uplastycznić. Zresztą godzę się nie tyle z p. M., jak z Stanisławem Brzozowskim, że idea niebytu i kult grozy opanował Wyspiańskiego niemal zupełnie i rzadko kiedy tylko przeciwstawia mu kult życia, siły i potęgi. „To nie moc, to marzenie o mocy“.



Powódź w Paryżu.
Wypompowanie wody z tunelu kolei podziemnej na placu Rzymskim. (Patrz artykuł.)

Nawiązując do traktatu Wyspiańskiego o Hamlecie, w którym zastanawia się poeta nad ideą i znaczeniem sceny, słusznie powiada p. M., że logika dekoracyi z logiką indywidualnej postaci winna iść zawsze w parze, że zatem tragizm Hamleta na scenie polskiej nie jest walką duszy jakiegoś tam królewicza duńskiego, ale zmaganiem się duszy polskiej, która w dramatach Wyspiańskiego ma zawsze koniec tragiczny. Natomiast nie dostatecznie uzasadnił mojem zdaniem p. M. czemu Chochoł z „Wesela“ niema być symbolem niemocy, lecz jest tylko krzakiem róży, owiniętym w słomę, Przecież nie w grze kołka ubranego w słomę, albo aktora pana X., leży tragizm, ale w tem, co on przedstawia. Mówi zresztą o tem Wyspiański w swojem studyum o Hamlecie.

Tę myśl współczesności dramatu omawiał p. M. dość szczegółowo, stosując ją zwłaszcza do Polski, jako myśl i twórczość Wyspiańskiego na wskroś przenikającej. Wszyscy wobec ojczyzny zawiniliśmy, choć „Polska to wielka rzecz“ i choć poprzednik Wyspiańskiego, wielki Skarga równie potężnie głosem karcącym nawoływał do poprawy. Więc Wyspiański bierze na siebie misyę i spowiada nas publicznie, rozdziera nam szaty, a z niemi serca nad dziejową klęską, której byliśmy sprawcami. Polska to niby „Hanusia“ Hauptmanna, bita i krzywdzona przez ojca własnego, która w wizyi przedśmiertnej w nauczycielu widzi Chrystusa i w białej szacie, z wiankiem na głowie śni byt szczęśliwy.

Naród byłby wolny, gdyby nie był *śnił* wolności w noc listopadową i oto wskrzesza ją Wyspiański na scenie, nie abyśmy przypominali sobie historyczny przebieg wypadków, lecz żebyśmy przeżywając raz jeszcze ideę wolności, uwierzyli w ziszczalność tej myśli.

Jak to się ma stać — zapomniał dodać p. M.— i Wyspiański nie powiedział, bo on tylko zwierza się cieniom wielkich postaci z swych marzeń. Tragizm Wyspiańskiego leży w tem, że zwalcza on mary przeszłości, karcąc ich za ich winy, a najchętniej sam pomiędzy niemi przebywa, gdy zaś w „Wyzwoleniu“ nad Geniuszem przeszłości wrota żelazne zamyka, już tylko Konradowi zwątpiałemu po scenie błądzić każe. A w „Akropolis“ poeta *śni* tylko przyszłość Polski. Pożądanie woli i mocy, nie jest jeszcze wolą i myślą samą.

Niewątpliwie przedstawia nam W. w Bolesławie Śmiałym walkę dwu światów, pogańskiego i chrześcijańskiego, ale nie rozumiem, czemu p. M. w zwycięstwie ostatniego widzi zapowiedź odrodzenia religijności XX. wieku. Przecież zwrot realizmu ku odradzającemu się romantyzmowi mieć może za podstawę tak metafizykę pogańską, jak chrześcijańską. Walka uczucia z racyonalizmem może być całkiem bezreligijną. Zaś Jehowa, karzący zbrodniarzy w „Sędziach“, równie dobrze może być Mojrą czy Perunem.

Bardzo piękny końcowy ustęp poświęcił p. M. formie, muzyce słowa, jedności uczucia i tematu w utworach Wyspiańskiego, motywując to obrazowością zmysłową poety.

W Wyspiańskim widzi p. M., reasumując poprzednie swe dość luźne wywody, dążenie do prawdy w sztuce, gdy nie można jej znaleść w świecie. Intuicyjne przeżywanie pełni wszech życia. — H. Bergson — nie może stosować się jedynie tylko do jego strony estetycznej. Zatem stanowisko Wyspiańskiego wedle zdania pana M. byłoby jednostronnem rozpatrywaniem całokształtu świata, zatem i idei Polski, przez pryzmat odczuwania estetycznego. To zbija jednak następne zdanie o nieśmiertelności prawdy i tych, co jej szukają. Prawda musi być nie tylko w sztuce, ale i w życiu.

I tylko wtedy inne narody szukać będą w Polsce idei nieśmiertelności, skoro ideał prawdy i piękna, wolności i życia całokształt bytu obejmować będą.

Wdzięczni jesteśmy panu Morstinowi za poruszenie tych pięknych i nowych myśli, które zwróciły znów uwagę na niezgłębioną dotąd twórczość wielkiego dramaturga polskiego. Wyspiański jest i będzie, chociażby tylko samem ukochaniem idei Polski, jednym z największych jej synów.

Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

IV. A.

Którzy hetmani polscy byli najsławniejsi?

Podczas gdy w pierwszych czasach dziejów naszego kraju królowie (za Piastów wyłącznie) dowodzili osobiście wojsku, stając na jego czele i czynny biorąc w walkach udział, w późniejszych czasach wytworzył się osobny urząd samodzielnego i odpowiedzialnego dowódzcy, którego to u u nas nazywano hetmanem. Jeszcze wszyscy Piastowie (965—1370) obchodzili się bez tych zastępców wojennych, i wszystkie czyny i zdobycze Chrobrego, Krzywoustego i Łokietka tym królom wyłącznie i niepodzielnie zawdzięczać należy. Dopiero za Jagiellonów, kiedy państwo przez połączenie Litwy i Rusi z Koroną olbrzymiego doznało wzrostu i częstsze nastąpiły walki dla obrony rozległego kraju, potrzeba było dowódzców, którzyby większemi oddziałami wojsk kierować mogli, w danym razie w kilku miejscach naraz, oszczędzając zaś przedewszystkiem samej osoby króla, który, potrzebny sam w kraju, nie mógł narażać życia i wolności swej na niepewne szczęście wyników wojennych. Wybierał więc król sobie do pomocy hetmanów, których to najwyższych urzędów wojskowych w Polsce było zazwyczaj dwa: wielki hetman koronny i wielki hetman litewski. Na tem zdaniu najwyższej władzy nad wojskiem w razie wojny wychodzili królowie razem z krajem zazwyczaj dobrze, gdyż wybierano na hetmanów na ogół poważne osobistości, zahartowanych rycerzy, w sztuce wojennej dokładnie obeznanych i cieszących się wśród rycerstwa wielkiem wzięciem. Przeważnie też już za Jagiellonów im głównie mamy do zawdzięczenia świetny okres Polski kwitnącej, oni to nieraz, cudów męstwa dokazując, kraj z największych niebezpieczeństw ocalali. Jednakowoż jeszcze pierwsi Jagiellonowie nie posługiwali się zastępcami-hetmanami, chociaż i w bitwie Grunwaldzkiej i w wojnie pruskiej Kazimierza Jagiellończyka kasztelani rycerzy w bój prowadzili. Wiemy jednakowoż, że tak Władysław Warneńczyk przeciw Turkom, jak i Jan Olbracht w swej również nieszczęsnej wyprawie przeciw Mołdawianom osobiście dowodzili wojsku, przyczem pierwszy z nich pod Warną życiem bohaterstwo swoje przypłacił. Dopiero za króla Aleksandra, który wojnę przeciw Moskwie sam jeszcze na własną prowadził rękę, słyszymy o hetmanie Stanisławie Kiszce, który na czele 10 tysięcy ludzi zadał Tatarom liczniejszym daleko klęskę pod Kłeckiem (na Rusi) w r. 1506. Pomagał mu tam dzielnie Michał Gliński, który jednakże za Zygmunta I, zdradzając kraj, przeszedł na stronę Moskwy. W bitwie pod Orszą (1514) przeciw Moskwie dowodził polskim zastępom hetman Konstantyn Ostrogski, który też świetne tamże dwukrotne odniósł zwycięstwo. Późniejszy hetman wielki koronny, Jan Tarnowski, okazał się jeszcze dzielniejszym, gdyż odniósł na czele 6000 rycerstwa (w $^{3}/_{4}$ jazdy) walne zwycięstwo pod Olsztynem (r. 1521) nad hospodarem wołoskim, stojącym na czele trzykrotnej przeszło siły wojennej (22 tysiące ludzi). W dalszym ciągu wsławił się Jan Tarnowski w wojnie moskiewskiej, zmuszając cara ustąpić z granic kraju i prosić o pokój. Za panowania króla Stefana Batorego wsławili się Jan Zborowski, jako w. hetman koronny i Krzysztof Mikołaj Radziwiłł, jako w. hetman litewski, z których pierwszy w r. 1577 odniósł nad rokoszanami gdańskimi walne zwycięstwo pod Tczewem, a drugi w wojnie moskiewskiej wielce się przyczynił do zupełnego poskromienia groźnego ze strony Moskwy niebezpieczeństwa. Nadewszystko zaś wsławił się już wówczas młody jeszcze Jan Zamojski, który już podczas bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta odegrał rolę znaczną, jednając sobie popularność szlachty. Wolny od uprzedzeń kastowych, gorącą miłością ojczyzny przejęty, zdolnościami, wykształceniem i biegłością w sprawach publicznych przewyższający nietylko rzeszę szlachecką, ale i całą gromadę senatorskich dygnitarzy, był Zamojski niejako stworzony na to, aby u boku takiego króla, jak Batory, reformę rzeczypospolitej przeprowadzić, polityce państwa inny nadać kierunek i Polsce zapewnić panowanie w wschodniej Europie. Niestety zbyt krótkie panowanie dzielnego tego króla nie dozwoliło Zamojskiemu przeprowadzić swoich planów. Decydującą rolę odegrał on podczas bezkrólewia następnego, zapewniając Zygmuntowi szwedzkiemu koronę polską, przez zwycięstwo nad Maksymilianem austryackim pod Byczyną r. 1588. On też głównie prowadził politykę narodową za panowania Wazy, w przeciwstawieniu do dynastycznej i awanturniczej polityki króla, zmuszającej później kraj do orężnej rozprawy z Szwecyą. Pod koniec pawania Zygmunta III wsławiają się hetmani: litewski Karol Chodkiewicz, odnoszący w r. 1605 w niespełna 4000 ludzi walne i decydujące zwycięstwo pod Kirchholmem nad 14 tysiącami Szwedów, i koronny Stanisław Żółkiewski, który po zwycięstwie kłuszyńskiem (1608) zdobył Moskwę i zadając w następnym roku Turkom w liczbie 160 tysięcy zupełną klęskę pod Chocimem na czele tylko 65 tysięcy Polaków. Wsławił się później jeszcze w wojnie z buntem kozackim hetman Stanisław Koniecpolski, lecz dopiero dzielny Stefan Czarniecki zdołał podczas nieszczęśliwego panowania Jana Kazimierza ocalić Polskę od niechybnego upadku, grożącego jej od nalewu połączonych hord nieprzyjacielskich. Stefan Czarniecki był nie mniejszym wybawicielem ojczyzny, jak późniejszy Jan Sobieski, którego nazwisko najjaśniejszą aureolą bohatera po wszystkie czasy jaśnieć będzie. Obydwóch czasy hetmaństwa przypadły na najgroźniejsze chwile Rzeczypospolitej, i obydwom bez przesady ma kraj ocalenie swe prawie wyłącznie do zawdzięczenia. Niezliczone zwycięstwa Jana Sobieskiego, główne pod Chocimem r. 1673, zjednały mu sławę pierwszego poskromiciela Turków, zniwe-

czyły raz na zawsze groźną potęgę muzułmańską w Europie i przyniosły mu w nagrodę koronę królewską. Zwycięstwo pod Wiedniem zrobiło Sobieskiego popularnym po wszystkie czasy nawet u wrogów. Z nim zeszedł do grobu ostatni wielki hetman, których brak bezwątpienia w znacznej mierze przyczynił się niebawem do upadku kraju.

Jan Lemański.

Współżycie.

(Symbioza).

I.

Jedna jest tu na świecie
Ta prawda krzycząca:
Wszystko z wszystkiem się zwiera,
Wszystko z wszystkiem strąca —

Przez dobór powinowactw.
Tak, a w tym doborze
Jedno drugie pożera
Jak i kiedy może.

Rozkosz pożerających,
Pożeranych groza —
To właśnie wspól-użycie
Czyli symbioza.

II.

Bór był pewnego razu,
Jawor żył w tym borze
I Czerw powinowaty
Mieszkał w tym Jaworze.

Pod korę wpełzł i przegryzł
Bieli uwarstwienia,
Do samiutkiego wnętrza
Do samego rdzenia

Lągł się... I toczył, toczył
Żywot na kształt fraszki.
Aż zwiedziały się o nim
Czerwiożerne ptaszki.

Snuje się nić żywota,
Póki się nie przerwie.
Czerw szarpie drzewo żuchwą,
Ptak uśmierca czerwie.

Ptakowi grozi strzelec,
Albo w klatce koza.
Jest to współbyt społeczny,
Czyli symbioza.

Otóż więc Czerw gryzł, gryzł, aż
W nawałnicę jedną
Runął Jawor, ponieważ
Zgryzione miał sedno.

— „Przebóg! Com zrobił?“ — Czerw rzekł. —
„Świadkiem mi niebiosa,
Że mi jest przeogromnie
Żal tego kolosa!

Taki miał krzepki pieniek!
Słoje tak świeżutkie!
Dziś wywraca go burza,
Jak spróchniałą dutkę!

Wszak to moja Ojczyzna!
Z niej czerpałem jadło!
Takiż mój patryotyzm?
Bodaj to przepadło!

Śmierć drzewa mi jak kamień
Na sumieniu leży.
Ha... struggle of life!... Wmigruję
W inny jawor, świeży.

Wypełzł z drzewa i patrzał,
Kędy teraz wśliznie
Żuchwy, aby wydrążał
Rdzeń nowej ojczyźnie.

Ale dzięki zrządzeniu
Losowych igraszek,
Przydybał go w tej drodze
I zadziobał ptaszek.

Snuje się nić żywota,
Póki się nie przerwie.
Czerw uśmierca pień drzewa,
Ptaszek dziobie czerwie.

Ptaszkowi grozi klatka,
Lub z strzelcem symbioza,
Bo każdy na swojego
Trafi wirtuoza.

I ten wszystkich przeżyje
Wirtuoz w naturze,
Który się zna najlepiej
Na klawiaturze.

III.

Była w kniei społecznej
Jaworowa dziewka.
Rosła na kwiat, na owoc.
Podobna do drzewka.

Włosów pęk gdy rozplotła,
Pachł, jak zwój gałązek.
Była czysta, wichr jeno
Czasem brał ją w związek.

I czuła, kiedy falą
Powiał ku jej listkom,
Że prąd myśli żywicznej
Ogarnia ją wszystką.

I myślała... Myślała
Ta duszyczka drzewna,
Że była jej pieszczota
Wiatru za powiewna.

Nieraz składała rączki
I błagała Bozię,
Aby jej żyć dał w bardziej
Rdzennej symbiozie.

Poznał ją Czerw-wirtuoz.
Poodmykał z zawor
Jej ośrodek duszyczki,
I zgryzł, jak Czerw Jawor.

Jak Czerw, wpełzł jej pod korę,
Zbadał pnia drobiazgi,
I przeżarł je do rdzenia,
Do ostatniej drzazgi.

U-ko-chał, jak to mówią.
I po pewnej przerwie
Z wyżartego jej sedna
Wypełzł, jak... jak czerwie!

I została dziewczyna
Próchniejąca smutkiem,
Aż ją wicher wywrócił,
Niby pustą dutkę.

Ten wicher, co ją ongi
Pieścił zbyt powiewnie,
Dziś w jej duszy wiał próżniej,
Jak flet, i grał rzewnie.

I czuła, gdy tak grał jej
Próchniejącym listkom,
Że myśli prąd żywiczny
Ogarnia ją wszystką.

Jedna na wszystkiej ziemi
Jest ta prawda żrąca:
Wszystko z wszystkiem się zwiera,
Wszystko z wszystkiem strąca.

Snuje się przędza bytu,
Próchnieje i rwie się,
Upada pień żywota,
Jak ten Jawor w lesie.

Jak w lesie, płynie wicher,
Wirtuoz powiewny,
Dmie w pustą życia dutkę
I gra na niej, rzewny.

Paryż pod wodą.

Francya dotknięta klęską powodzi. Cała prawie północno-zachodnia część kraju i niektóre niżej położone dzielnice Paryża stoją pod wodą. Wzdłuż rzeki Sekwany i jej dopływów potworzyły się olbrzymie jeziora, z których sterczą szczyty wspaniałych budowli, pałaców, kościołów, gmachów i drzew. Tak wielkiej i groźnej powodzi nie było jeszcze we Francyi. Najstarsi Paryżanie nie widzieli tyle wody na ulicach miasta.

Katastrofę spowodował gwałtowny wylew rzek, a bezpośrednią przyczyną tego spadłe niedawno wielkie śniegi i ulewne deszcze. Pod wpływem ciepła olbrzymie masy śniegu szybko stajały, a woda spływająca tak obficie do kanałów i rzek sprowadziła klęskę powodzi.

Najwięcej ucierpiały okolice położone nad rzeką Sekwaną, która przepływa Paryż. Stan wody w tej rzece wynosi zwykle około 2 metrów. W porze wiosennej wzrasta do półtrzecia metra najwyżej. — W tych dniach zaś



Powódź w Paryżu.
Powyższa rycina obrazuje zniszczenie bruku ulicznego; woda skutkiem zupełnego zalania kanałów utorowała sobie pod ziemią wolną drogę, wyważając bruk uliczny.

podniosła się woda w korycie ponad 9 metrów, a więc zawartość rzeki potroiła się.

Ten olbrzymi wzrost wody w Sekwanie dał się najdotkliwiej we znaki stolicy Francyi, Paryżowi, który też ze wszystkich miast w największem znajduje się niebezpieczeństwie. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że miasto to, liczące 3 miliony mieszkańców, jest najbardziej podrytem miastem na świecie. Stoi na tak zwanych katakombach, to jest dawnych kamieniołomach, z których czerpano materyał budowlany.

W roku 1876 dotknięty był Paryż równie wielką powodzią, ale tamta nie była dla miasta tak groźną, jak obecna. Wtenczas Paryż nie był jeszcze tak podkopany, ani nie posiadał takiej ilości kanałów podziemnych, co dzisiaj, podziemnej kolei miejskiej, tudzież innych linij kolejowych. Tunele kolejowe nie są jeszcze zupełnie obmurowane, więc woda rozluźnia ziemię i powoduje zasypywanie tunelów. Kolej miejska i część kolei obwodowej idzie galeryami wzdłuż biegu Sekwany, której fale zalewają tor kolejowy. Elektrownie kolejowe nie funkcyonują, skutkiem czego ustał ruch na wielu liniach. Podobnie dzieje się z tramwajem elektrycznym. Największe spustoszenie zrządziła powódź na podziemnej kolei paryskiej „Nord-Sud“, powodując zawalenie się głównie wskutek pobudowania podtunelu. Kilka elektrowni przestało funkcyonować, skutkiem czego niektóre dzielnice paryskie pozbawione są światła. Ulice wyglądają jak rzeki. Pomieszkania parterowe są zalane, a ruch odbywa się na łodziach. Wszystkie mosty, a jest ich 25, znajdują się w niebezpieczeństwie. Woda dochodzi już do łuków mostowych, przynosząc zarazem ze sobą kamienie i inne cięższkie przedmioty, któremi rzuca o łuki mostowe, grożąc im rozbiciem.

Na przedmieściach z wielu domów widać tylko dachy, wystające z pod wody. W sławnej katedrze poświęconej czci Bogarodzicy, zwanej „Notre Dame“ (Nasza Pani) woda stoi na 1 metr wysoko. Podobnie w wielu innych kościołach. Większą część fabryk musiano zamknąć. Przeszło 20 tysięcy robotników w samym Paryżu zostało bez pracy. Wśród mieszkańców wzrasta nadto zrozumiała obawa przed rozmaitemi chorobami, które może występować zaczną po powodzi. To też nie dziw, że mimo ostatków karnawału, Paryż sposępniał. O zabawach i tańcach mowy niema. Teatry zamknięte. Na ręce prezydenta Francyi napływają datki na zapomogi dla ofiar powodzi. Królowie i książęta spieszą z współczuciem dla Francyi. Ojciec św. ofiarował 30,000 franków. Składki w dniu 4-tym b. m. przekroczyły już sumę 3 milionów franków.

Od przeszło tygodnia woda w Sekwanie zwolna opadać zaczęła. To jednak nie wyklucza dalszych jeszcze nieszczęść i strat wskutek podmycia fundamentów i nagromadzenia wody w piwnicach domów i gmachów publicznych. Zanim ją stamtąd po osuszeniu ulic i placów wypompują, niejedna budowla ucierpi lub zawali się w gruzy.

Strzeż się zniecierpliwienia na siebie samą. W razie potrzeby dodawaj sobie odwagi, podnieś się z upadku i umacniaj się na duchu.

* * *

Lepszą jest uboga mądrość, niż głupie bogactwo.

Bolesław Prus.

Na arenie szczurów.

Moje factotum Wiktor, zajmujący się w wolnych od ciężkiej pracy chwilach chodowlą psów, i mający, jako właściciel ciętego bullterriera, wielką znajomość rzeczy, patrzy z niechęcią na małego, biało-czarnego psiaka, który od pięciu miesięcy zamienia moje spokojne kawalerskie mieszkanie w istną norę drapieżnych zwierząt.

„Wielki pysk, ale ciętości mało,“ oświadcza kategorycznie i porównuje w sposób dla obydwóch stron niebardzo pochlebny mojego czworonożnego towarzysza z pewnym znanym „wielkim“ mówcą z izby deputowanych.

Nie, psiak nie ma ciętości — pomimo, że natura przeznaczyła go widocznie na ratlera, boi się owych przedstawicieli rzędu „gryzów,“ uwijających się żwawo w ogródku, otaczającym dom i w piwnicach, i stosując się do zasady, że „mędrszy ustępuje,“ kryje się milcząc w swych komnatach, i nawet się nie rumieni na tchórzostwo swoje!

Nieszczęsny właściciel psa musi się natomiast rumienić za niego. Wiktor, wspaniałomyślny i uprzejmy, twierdzi, że nauczy tchórza ciętości, lecz pod warunkiem, że pozwolę mu zabierać go do „ratodromu“ w Neuilly.

— Ratodrom? Co to jest?—pytam zdumiony i dowiaduję się, że to „wyższa szkoła“ dla dzielnych ratlerów i dla tych psów, które dzielnymi ratlerami stać się mają.

— Chodź pan ze mną, — prosi Wiktor, — nie pożałujesz pan tego.

Więc dalej do Neuilly!

Rzym miał swoje Colosseum, Hiszpania ma swoje walki byków, Północna Francya i Belgia swoje walki kogutów, lecz Paryż ma swój Ratodrom, będący wprawdzie skromnym fiołkiem, kwitnącym w ukryciu......

W zachodniej więc stronie miasta, poza bramą Maillot, przez którą w pogodne niedziele tłumy ludzi, pragnących zabawy, dążą do Lasku bulońskiego lub na jarmarczne rozrywki do parku Luna, widać w pobliżu pomnika Awiatyków, na wpół zakrytą furtkę, nad którą powiewa płat sukienny z napisem: „Ratodrom.“ Wejście to nie wygląda ani wspaniale, ani zbyt zachęcająco.

Ale odwagi! Słychać już zdaleka gwałtowne szczekanie i to w najwyższym, przejmującym dyszkancie. Za chwilę znajdujemy się rzeczywiście przed małą areną, otoczoną gęstą, mo-

cną drucianą siatką, w koło której stoi mieszana, bardzo nawet mieszana publiczność. Obok poczciwych czeladników stoją mężczyźni, których na pierwszy rzut oka — poznajemy jako leśniczych lub myśliwych, obok chodowców psów i ludzi sportowych, stojących tu z psami w celu tresowania ich na żywym objekcie, znajdują się ciekawi z wszystkich warst społeczeństwa, nawet tacy, którzy w sąsiednich norach i wałach dawniejszej twierdzy wiodą wolne życie apachów, i z powołania już wielką mają skłonność do „gwałtownych wzruszeń“ i krwawych przedstawień.

Kilka ciętych terrierów wpada teraz na środek areny, na którą wypuszczono już dwanaście szczurów. Hej, jak się te psy zabierają do dzieła! Niektóre szczury bronią się rozpaczliwie swemi ostremi zębami, lecz walka nie trwa długo! Żwawe, zwinne psy chwytają piszczące ofiary za kark lub z tyłu, podrzucają je jak dla zabawy wysoko w powietrze, potrząsają je, i kładą nieżywe na ziemię, przesiąkłą krwią szczurów. Wszystko to trwa pół minuty. Dobrze wytresowany terrier musi się w piętnastu sekundach załatwić z pięcioma szczurami.

— Bardzo dobrze, — chwalą właściciele psów, śledzący z niezmierną uwagą cały przebieg walki, a chłopak, który wypuścił szczury na arenę, bierze teraz psy, myje okrwawione pyski antyseptycznym płynem i porządkuje starannie ich tualetę.

Ale ratodrom kryje jeszcze większe sensacye niż odbyte właśnie drażniące, chociaż krótkie przedstawienie. Właściciel ratodromu wypuszcza na życzenie publiczności swego jaźwca „Pierrot,“ który się szybko kryje w gankach sztucznie urządzonej jamy.

— Szukaj! Szukaj!

Pół tuzina młodych terierów rzuca się z zapamiętałem szczekaniem ku jamie, w której znikł Pierrot. Doświadczeńsze stoją i szczekają bez zapuszczenia się w ganki, inne, zuchwalsze, wsuwają nosy za głęboko w otwór i odskakują szybko, zakrwawione. Pierrot dał im się porządnie we znaki, lecz to poczciwy jaźwiec, wie on, że to tylko zabawa i nie rani zbyt boleśnie swych młodych, głupich przeciwników. Po kilku minutach odsuwa monsieur Gustave, właściciel Pierrota, deski, tworzące sztuczną jamę, i Pierrot wychodzi z najeżoną sierścią z zagłębienia, a szczekający nieprzyjaciele stoją w należytem oddaleniu i raz po raz tylko odważają się na ostrożną zaczepkę, odpieraną ostremi zębami zaczepionego. Jaźwiec przebiega kilka razy w około areny, psy pędzą za nim — potem znika w swej zagrodzie i cieszy się z hucznych oklasków, któremi go publiczność darzy tak, jak gdyby to był pierwszorzędny artysta. Służba pana Gustave obmywa znów starannie zakrwawione nosy i bandażuje rany, podczas kiedy sam właściciel ustawia na nowo sztuczną jamę z desek dla Pierrota. Publiczność rozprawia żywo o zaletach i wadach poszczególnych walczących. Potem pozwala monsieur Gustave gościom zwiedzić swoje „etablissement,“ roztaczające niestety, woń nie bardzo przyjemną. Owe trzysta szczurów, stanowiących wraz z dwoma jaźwcami, dwoma lisami i dwudziestoma foxterrierami cały jego dobytek, wydziela odór tak przejmujący i ostry, że nosy zwiedzających strasznie z powodu tego cierpią. Ze względu więc na to wsadził monsieur Gustave jeszcze do swej menażeryi kozła, który podług jego zdania ma „czyścić powietrze“. W rzeczywistości jednak nie jest dobór tych perfum wcale harmonijnym i z tego też pewnie powodu nie cieszy się ratodrom względami arystokracyi, a mianowicie pięknych Paryżanek, które zawsze chętnie idą tam, gdzie doznawają silnego wstrząśnienia nerwów. Może się panu Gustavowi uda wynaleźć coś skuteczniejszego do czyszczenia powietrza jak wyżej wspomnianego kozła, tak, aby z czystem sumieniem mógł swoim gościom powiedzieć: „non olet.“

Instytut pana Gustava, w którym codziennie przecięciowo sto szczurów pada ofiarą, bywa zaopatrywanym w szlachetną tę zwierzynę przez zacny cech zbieraczy szmatów, mających główne kwatery na malowniczej, lecz nieapetycznej ulicy Mouffetard, niedaleko Panteonu. Oprócz tego dostarczają mu też inni myśliwi, nie mający upoważnienia do polowania, potrzebnej ilości szczurów, mianowicie członkowie cechu robotników kanałowych. Za szczura płaci się mniejwięcej pięć sous czyli 20 fen.

Rozmaite sztuczki w kinematografii.

(Dokończenie.)

Mężczyzna ochłonął tymczasem z przerażenia, wraca, bierze spokojnie cygaro i zapala je. Dym roznosi się w gęstych kłębach i nagle widzimy, że ogromna chmura dymu wsuwa się przez cieńką szyję białej butelki do jej wnętrza. Publiczność jest niezmiernie zaciekawioną, bo to przecież rzeczy niebywałe. Wszystko jednak bardzo jest naturalne i proste. Przy zdejmowaniu tego obrazu wdmuchuje niewidzialny człowiek pod stołem za pomocą węża, dym w butelkę, płyta stołowa i dno butelki mają otwory nieznaczne. Dym, wdmuchany w butelkę, wychodzi szyjką i kieruje się podług przewiewu, wytworzonego łatwo otworzeniem okna lub wentylacyi na scenie. Uchodzenie dymu z butelki żadnych więc nie sprawia trudności, lecz dym ma wejść do butelki! I to również jest proste! Przedstawiając tę scenę, odwija się film w przeciwnym kierunku. Tak jak odwróceniem filmu przedstawia się pociąg, pędzący wspak do stacyi, tak samo można dymem kierować dowolnie.

Mężczyzna dziwi się nad zagadkowym dymem, bierze butelkę i ogląda ją uważnie. Potem patrzy na nią znów przez powiększające szkło. Na filmie ukazuje się butelka ogromnie powiększona, w niej zaś skacze mała czarodziejka, i puka w szkło prosząc, aby ją wypuszczono.

W celu zdjęcia tej butelki nie można w niej naturalnie umieścić dziewczynki. Jakżeby mogła wejść do niej i wyjść przez ciasną szyję? Trzeba więc najpierw rzucić na film cały szereg zdjęć próżnej butelki, a potem zwierciadlany obraz dziewczynki i to tak, aby obraz znajdował się zawsze w obrębie zarysów butelki. Dziewczynka może wykonywać najrozmaitsze skoki — wygląda to zawsze tak, jak gdyby się poruszała w przezroczystej butelce.

Mężczyzna tłucze butelkę i dziewczynka znajduje się nagle na pudle od tytoniu, schyla się i wyciąga z za pudła paczkę papierosów. Potem otwiera ją i podaje grzecznie papierosa bohaterowi komedyi, który go zaraz zapala.

Jakim sposobem znalazła się mała czarodziejka po stłuczeninu butelki na pudle do tytoniu? Po stłuczeniu butelki aparat się wstrzymuje. Dziewczynka wchodzi na pudło z rekwizytami, obraz jej ukazuje się w zwierciadle, aparat zaczyna funkcyonować, i zdejmuje zwierciadlany obraz. Ukazująca się równocześnie w lustrze paczka papierosów posiada w rzeczywistości ogromne rozmiary. W chwili, w której dziewczynka wyjmuje z paczki papierosa aby go podać mężczyźnie, zostaje aparat znów odstawionym i zaczyna zaraz znów działać, gdy mężczyzna bierze rzeczywistego papierosa.

Bohater dmucha czarodziejce dym w twarz i zapala zapałkę, na widok której maleńka istotka przerażona ucieka. Ale pragnąc się pomścić, skrada się do pudełka z zapałkami. Publiczność widzi

w powiększonym obrazie, jak dziewczynka otwiera pudełko, jak kładzie kilka zapałek jednę na drugą i zapala mały stos. Scena zmienia się, mężczyzna porywa syfon i kieruje promień wody sodowej na palące się drzewo. W powiększonym obrazie — zapałki mają w rzeczywistości 90 centymetrów długości — widzimy spadający na palące się zapałki istny strumień wody — i czarodziejka znika.

W ostatniej scenie widzimy mężczyznę, lejącego zawsze jeszcze wodę sodową na palące się zapałki i tak przestraszonego ogniem, że oblewa sam siebie. Tak kończy się przedstawienie, wywołujący głośny i serdeczny śmiech publiczności.

Wrażenie tak doskonale obmyślonego i za pomocą najlepszych technicznych środków wykonanego przedstawienia, jest nadzwyczajne. Publiczność, nie przeczuwająca wcale związku rzeczy, usiłuje z początku wmówić w siebie że obie małe czarodziejki są ruchomemi lalkami. Ale wnet przekonuje się aż nadto wyraźnie, że to są istoty żywe, nie mające ani śladu sztywności członków, właściwej lalkom; ruchy ich są lekkie i zręczne, co się przy takiem zmniejszeniu ich postaci jeszcze o wiele więcej uwydatnia. Wszystko pozostaje więc zagadką, a dzieciom zdaje się, że patrzą na jakiś świat inny — zaczarowany. Doskonała technika czaruje i nam przed oczy to, cośmy widzieli w naszych najpiękniejszych marzeniach...

Tadeusz Mielcarzewicz.

Nowości literackie.

Nieznane pisma Adama Mickiewicza.

Adam Mickiewicz: Nieznane pisma (1817—1823). Z archiwum Filomatów wydał Józef Kallenbach. Kraków 1910. G. Gebethner i Spółka. — Warszawa — Gebethner i Wolff. — Str. XVII i 423.

Już przed kilku laty rozeszła się radosna wieść o odkryciu archiwum Filomatów w Wilnie. Obecnie wydano pokaźną książkę zawierającą wyjęte z papierów filomackich pisma młodzieńcze Mickiewicza. To, co w książce znajdujemy, a więc prace literackie poety: pisma w sprawie organizacyi Filomatów, mowy, krytyki i sprawozdania, poezye, listy — nie jest w ścisłem tego słowa znaczeniu „odkryciem“, gdyż archiwum filomackie nie zaginęło — jak powszechnie przypuszczano — lecz przechodziło na Litwie w rodzinie sekretarza związku Filomatów Onufrego Pietraszkiewicza z rąk do rąk, a przechowywane było przez lat przeszło ośmdziesiąt z wielką pieczołowitością. Zapoznaniu atoli szerszego ogółu z zawartością tego archiwum stawały zawsze na przeszkodzie warunki polityczne panujące na Litwie. Dopiero niedawno przewiózł prof. *Kallenbach* ten drogocenny skarb z Wilna do Krakowa, gdzie po starannem uporządkowaniu materyału przystąpił niezwłocznie do ogłoszenia drukiem wszystkiego tego, co w tekach filomackich przechowało się z Mickiewicza (zbiorowe wydanie całego archiwum poda do druku komisya literacka Akademii Umiejętności w Krakowie).

Nieznanych dotąd pism młodzieńczych Mickiewicza jest taka obfitość, że tworzą one tom o 400 przeszło stronicach. Niesłychanie ważne to pisma rzucające jasne snopy światła na rozwój duchowy poety w tych latach, które we wszystkich dotychczas ogłoszonych biografiach i charakterystykach nie występują z dostateczną wypukłością. Tu dopiero poznajemy po raz pierwszy z całą wyrazistością serce i umysł poety w zaraniu życia, tu przemawia do nas najwybitniejszy członek Filomatów, a przemawia *tak*, że zadziwiać musi swoim geniuszem, rozwijającym się w zdumiewająco szybkim czasie. Tu widzimy też namacalnie, ile mamy do zawdzięczenia Towarzystwu Filomatów, gdyż duch, panujący pomiędzy tą wyjątkową młodzieżą, wypiastował nam — jak zaznacza prof. Kallenbach — Mickiewicza-poetę. Dla tego też pomieszczono na samym początku niniejszej księgi *pisma dotyczące organizacyi Filomatów* oraz udziału, jaki w tym związku brał nasz Adam.

Towarzystwo Filomatów rozpadało się na dwa wydziały: literatury i nauk moralnych, oraz nauk matematyczno-fizykalnych i medycznych. Mickiewicz był naczelnikiem wydziału pierwszego i jako taki zdawał na posiedzeniach powszechnych Towarzystwa sprawozdania o swoim wydziale. Tych niezmiernie ciekawych *wiadomości o wydziale pierwszym* mamy w naszej książce trzy. Jako naczelnik wygłaszał Mickiewicz oczywiście *mowy* dotyczące bądź to ogólniejszych spraw Towarzystwa, bądź też specyalnych okazyj, np. przyjmowania nowych członków itd. Przemowy te (jest ich tu pięć) objaśniają cele i zadania Filomatów i wielbią w potężnych słowach pracę, przyjaźń i narodowość. — W kilkunastu dalszych kartach zawarto *krytyki i sprawozdania* („Wiadomości naukowe“), które poeta odczytywał na posiedzeniach wydziałowych.

Następnie podaje tu wydawca znalezione w archiwach filomackich *poezye* Mickiewicza. Są to: „Pani Aniela“, „Dodatek do Cwibaka“, „Z obchodów imieninowych“, „Jamby Powszechne“, „Triolet“, „Do Czeczota“, „Cztery Toasty“, Przekłady. Jak z tytułów już wynika, są to przeważnie wiersze okolicznościowe „swawolnym duchem studenckiej muzy owiane“, powiada prof. Kallenbach; nie można też oczywiście oceniać ich podług wygórowanych wymagań krytycznych, jakkolwiek i te wiersze studenckie niepoślednim są przyczynkiem do dokładnego poznania dróg, po jakich stąpał podówczas młodziutki poeta, oraz do ocenienia dalszej jego ewolucyi duchowej. Dość powiedzieć, że najwcześniejszy utwór Mickiewicza wiersz: Pani Aniela (1817) jest naśladowaniem z Woltera, a w niespełna trzy lata poeta tłumaczy Schillera. Od tego „śpiewaka wolności“ oczywiście krok już tylko do „Pieśni Filaretów“ i „Ody do młodości“.

Przeważną część książki (str. 205—406) wypełniają *listy* poety pisane z Kowna do przyjaciół. Wartość listów tych jest olbrzymia, do wyjaśnienia bowiem niektórych sprzeczności co do pomysłów literackich Mickiewicza, a zwłaszcza do należytego zrozumienia jego zamiarów, myśli i dążeń (poeta spowiada się tu z nich przyjaciołom) są listy te wprost niezbędne. Listów tych — choć nie wszystkie dochowały się — jest dziewięćdziesiąt pięć. Pisał je Mickiewicz do Czeczota, Zana, Pietraszkiewicza, Jeżowskiego, Malewskiego, Kowalewskiego, Odyńca i Maryi Puttkamerowej (Maryli). Słusznie zauważa wydawca, że listy z Kowna są „bardzo ważne i niepodejrzane jako świadectwo myśli, prac, pragnień i uczuć nauczyciela kowieńskiego i nieszczęśliwego kochanka Maryli“.

W „dodatku“ do książki niniejszej znajdujemy podanie Mickiewicza do rektora Uniwersytetu Wileńskiego, oraz dwa listy Puttkamerowej, jeden pisany po francusku do Mickiewicza, drugi w języku polskim do Zana. — Należy jeszcze nadmienić, że wydawca zaopatrzył książkę w przedmowę (z której przytoczyliśmy tu to i owo) i w liczne objaśnienia i przypiski. Całość świadczy ponownie o znanym u tego uczonego pietyzmie w badaniu i ogłaszaniu literackich zabytków.

Że odcyfrowanie dość nieczytelnych autografów z przed 80-ciu z górą lat jest rzeczą niełatwą (nawet dla prof. Kallenbacha, mającego w odczytywaniu rękopisów Mickiewicza dwudziestokilkoletnią praktykę), a zestawienie chronologiczne listów pozbawionych daty trudnością niemal nie do przezwyciężenia, nie potrzeba chyba dodawać. Wszystkie te trudności mógł pokonać szczęśliwie tylko ten, kto pracy tej oprócz bogatego zapasu erudycyi poświęcił także swoje serce...

Wkońcu kilka słów o zewnętrznym wyglądzie drogiej nam spuścizny. Zarządowi drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego udało się drukiem i ozdobą tytułową uczynić wydanie tej książki podobnem do typu wydania „Poezyi“ Mickiewicza z roku 1822-go. Ponadto zdobi książkę portret poety z r. 1820-go, a więc z tych właśnie czasów, w których powstały pisma tu ogłoszone. Piękną niespodzianką jest też dołączone przy końcu książki *fac — simile* (podobizna) autografu znanego wiersza poety „Romantyczność“. Autograf ten znalazł wydawca w liście Mickiewicza do Zana i Jeżowskiego. — Tak więc i zewnętrznie przedstawia się ta książka nad wyraz dodatnio, czem dostraja się znakomicie do swojej wprost nieocenionej zawartości.



Ogólny widok Portu Artura.

Port Artura, słynny wojenny port na południowym krańcu półwyspu Kwantung w Mandżuryi, zabezpiecza ujście rzeki Peiho i miasta Tientsin i Peking od strony morza. Miasto otacza 13 fortów, uzbrojonych olbrzymiemi działami, połączonych telegraficznemi i telefonicznemi drutami, a fort oświetlony jest elektrycznemi lampami. W 1897-ym roku zajęła Port Artura Rosya, lecz utraciła go w pamiętnej wojnie z Japonią, rozpoczętej dnia 6-go lutego 1904-go roku. Dnia 1-go stycznia 1905 roku poddał się Port Artura, w którym generał rosyjski Stoessel bronił się przez szereg miesięcy.

CHARAKTER.

Podstawą i gruntem, na którym wzrasta charakter jest — moralność.

Moralność poznaje się po pytaniach zadawanych sobie przed spełnieniem czegoś: „Czy to dobrze?“ „Czy to sprawiedliwie?“ „Czy to wolno?“ „Czy się to godzi?“ Odpowiedź, jaką otrzymamy od sumienia na to zapytanie, wskaże nam co czynić, by nie uchybić moralności. Pamiętać o tem należy, aby zawsze i wszędzie praktykować powyższe warunki.

Charakter stanowi człowieka, a nie opinia publiczna. Charakter jest wewnętrzną wartością człowieka, a nie wartością jego na targu opinii publicznej. Charakter jest koroną i chwałą życia. — Charakter cechuje każdy stan, podnosi każde stanowisko w społeczeństwie, wywołuje szacunek i zdobywa zaufanie drugich.

Charakter, można powiedzieć, to człowiek doskonały w najdoskonalszem pojęciu tego słowa. — Zdobycie charakteru powinno być najgłówniejszym i najwyższym celem życia człowieka.

Charakter stanowi większą siłę i większe ma znaczenie niż wykształcenie i majątek.

Przykłady charakterów nie zamierają nigdy, ale, jak ich wspomnienie, są nieśmiertelne.

Człowiek musi być jednem z dwóch — drzewem chwiejącem się za poruszeniem wichru, lub wichrem, który drzewami miota. Chociaż wiemy co dobre, a co złe, jednak nie zawsze to dobre wybieramy i czynimy. A zatem czegoś więcej potrzeba prócz znajomości różnicy między dobrem a złem. Tem jest wola — wola czynienia tego, a nie tamtego, gdy pokusy walczą przeciw wewnętrznemu głosowi sumienia. To też, by posiadać charakter, trzeba mieć silną, wykształconą wolę — wolę ugruntowaną w prawdzie i sprawiedliwości.

Lavater powiada: — ruchy, słowa, spojrzenia — to alfabet, za pomocą którego można wysylabizować charakter. Charakter, to natura i wychowanie — powiedział James A. Garfield, czy życie nasze wypełnione będzie pomyślnością czy zawodami, składać się na nie musi praca nasza, a nie innych. Trzeźwość, praca, uczciwość, oszczędność i wytrwałość z pewnością dadzą pomyślność i dobrobyt. Nic innego nas w progi powodzenia nie zaprowadzi. Ale też nie samym chlebem człowiek żyje, lecz wiarą i uczuciem.

Płytkie to twierdzenie, że złoto rządzi światem; są rzeczy dla których tamto w krótkim czasie puszcza się w zapomnienie — strach naprzykład, miłość lub — charakter.

„Ten tylko postępuje w życiu“ — powiada Ruskin — „kto serce ma coraz większe i cieplejsze dla drugich, umysł bystrzejszy, szerszy horyzont myśli i ducha coraz to szlachetniejszego i większego, kto wstępuje w progi prawdziwego spokoju wewnętrznego. Kto to ma w sobie jest jedynym i rzeczywistym władcą tego świata.“

Powodzenie w życiu nie opiera się na jednej lub drugiej rzeczy, ale na wielu z sobą połączonych, które stanowią dobry charakter. Prawdziwe szczęście nie leży w bogactwie, ni w władzy, ni w chwale i zaszczytach — leży w prawdziwem człowieczeństwie — które umie w właściwy, należyty sposób korzystać z powyższych dóbr i posiąść je dla dobra i szczęścia bliźnich.

Silna wiara — to najlepsza religia, dobre życie — to najlepsza filozofia, czyste sumienie — to najlepsze prawo, uczciwość — najlepsze świadectwo, wstrzemięźliwość — to najlepsze zdrowie. Najwyższa wielkość tkwi w duszy człowieka. Charakter stanowi większą wartość niż kapitał. — Charakter stanowi więcej niż talent. Iluż to bowiem ludzi utalentowanych, geniuszów nawet, nie zaznało powodzenia w życiu z braku stałego, prawdziwego charakteru.

Epizod z czasów rewolucyi.

(Dokończenie.)

Scena III.

Siostra Agata, Siostra Marta i Nieznajomy.

(Słychać pukanie).

Siostra Agata — *(otwierając drzwi)* — Czego sobie życzysz, obywatelu. (Idzie do siostry Marty, którą prowadzi na przód sceny na prawo.) To jest ten człowiek, który od kilku dni obserwuje nasz dom.

Nieznajomy — (staje na progu, rozgląda się po pokoju) — Jaka nędza!

Siostra Marta — To on, który dzisiaj szedł za mną.

S.ostra Agata — Nie wygląda na złego i nieżyczliwego.

Nieznajomy—(zamyka drzwi i zwolna idzie ku środkowi sceny). Nie przychodzę jako nieprzyjaciel, obywatelki... Zapewne widziałyście mnie, że kręcę się w koło waszego mieszkania. Musicie mi nie ufać. Żyjemy w takich czasach, że każdy drży przed szpiegiem, a wy macie więcej powodu jak inni do obaw.

Siostra Agata — Dlaczego, obywatelu?

Nieznajomy — Dlatego, że nazywasz się panną de Langeais, dlatego, że rodzina twoja wyemigrowała i walczy teraz przeciw Francyi, przeciw rewolucyi.

Siostra Agata — Bronią swoich praw.

Nieznajomy — Napadają na swój kraj. Ty, obywatelko, nie jesteś odpowiedzialną za czyny twoich najbliższych. Lecz jesteś podejrzaną, bo jesteś córką szlachecką, bo jesteś byłą zakonnicą. A przyjaciółka twoja, panna Michalet, która była towarzyszką twoją w klasztorze de Chelles, nie jest mniej podejrzaną od ciebie.

Siostra Marta — Cóż zrobiłyśmy złego? Wypędzono nas z klasztoru. Mieszkamy więc tutaj. Mieszkamy spokojnie, bez celu. Nie popełniłyśmy żadnej zbrodni.

Nieznajomy — Nie mówię, że jesteście winne: jesteście podejrzane. Rozumiecie znaczenie tego słowa? Podejrzane? Lecz słowo to starczy, aby nad wami czuwano, aby wasze najniewinniejsze czyny brano za przestępstwa, aby was aresztowano, sądzono...

Siostra Agata — Obywatelu, nie próbuj nas przestraszyć. Zaczynamy przyzwyczajać się do strachu. Jeszcze kilka miesięcy trwogi, a staniemy się zupełnie heroiczne.

Nieznajomy — Mylicie się, obywatelki, co do słów moich. Chciałem wam tylko dać do zrozumienia, że was znam bardzo dobrze, i że byłoby mi łatwo zbuntować tłum przeciw wam. Jakaś łakoma rzecz dla motłochu uwięzić dwie zakonnice, z których jedna należy do jednej z najstarszych rodzin Francyi!

Siostra Agata — Nie wiem, czy jeszcze egzystuje sprawiedliwość. Lecz zdaje mi się, że trudno byłoby skazać dwie kobiety dlatego tylko, że należały do zgromadzenia religijnego.

Nieznajomy—Jednak wolno aresztować dwie kobiety, które są nieposłuszne prawu.

Siostra Marta — Panie...

Nieznajomy — Nie nazywasz mnie już obywatelem?

Siostra Marta—Wybacz, obywatelu.

Nieznajomy — Chowacie tutaj księdza, który uszedł cało z rzezi Benedyktynów.

Siostra Agata — To fałsz!

Nieznajomy — Nazywa się de Mayral.

Siostra Marta — Mylisz się, obywatelu.

Nieznajomy — Widzicie więc, obywatelki, że byłoby mi łatwo was zadenuncyować. Od kilku dni posiadam wasz sekret. Gdybym był chciał, znajdowałybyście się już w więzieniu.

Siostra Agata — A więc?...

Nieznajomy — Rozumiecie teraz, obywatelki, że nie jestem waszym wrogiem.

Siostra Agata — Któż więc jesteś? (Podaje mu krzesło przy kominku).

Siostra Marta — Dobrze czułam, że jesteś może opiekunem, którego niebo lub przyjaciele nam przysłali.

Nieznajomy — (siadając, jowialnie) — Tymczasem drżałaś dzisiaj, obywatelko, gdy widziałeś mnie jak cień nieodstępnym, gdy szłaś do Duret‘a, aby kupić hostyi.

Siostra Marta — Ah! Hostye! Wiesz o tem...

Nieznajomy — Jestem chrześcianinem, moje siostry.

Siostra Agata — Obywatelu...

Nieznajomy — (przerywając) Ah! nie silcie się na nazwę obywatela, to zbyteczne.

Siostra Agata — Panie, nie jesteśże tym, którego oczekujemy?

Siostra Marta — Hosanna!

Nieznajomy — To nie jest moje imię. Nie wiem kogo oczekujecie, lecz na honor, przysięgam skuteczniej was bronić, jak wszyscy wasi przyjaciele.

Siostra Agata — Czy masz takie wpływy, panie?

Siostra Marta — Należysz do Zgromadzenia narodowego?

Nieznajomy — Stoję nad Konwencyą. Stoję nad wszystkiemi partyami. Nikt mnie nie posądzi o opieszałość a ci, których proteguję, zawsze będą poważani.

Siostra Marta — Duret zbladł, gdy cię ujrzał, panie!

Nieznajomy — Nie ma się czego obawiać, gdyż jest waszym przyjacielem. Jeżeli oddacie mi przysługę, o którą was proszę, zobowiązuję się was osłaniać. Będziecie mogły swobodnie chodzić po ulicy. Nikt się nie domyśli prawdziwego nazwiska księdza de Mayral i nie będzie potrzebował ukrywać się.

Siostra Marta — Cóż więc chcesz od nas panie?

Nieznajomy — Chcę mówić z księdzem de Mayral.

Siostra Agata — Nie ma go tutaj.

Nieznajomy — Lecz przyjdzie?

Siostra Agata — Nie mieszka tutaj.

Nieznajomy — Widzę, siostro, że mi jeszcze nie wierzysz. Doprawdy? Ksiądz de Mayral nie mieszka tutaj?

Siostra Agata — Nie, obywatelu.

Nieznajomy — (chodząc po pokoju). Niezawodnie starczyłoby mi otworzyć który z tych kufrów, aby znaleźć ubrania księdza.

Siostra Marta — (stając przed kufrem). Mylisz się, obywatelu.

Nieznajomy — Nie obawiaj się. Nie będę odrywał zamków (wskazując na stół, na którym leży brewiarz). To wy, siostry, bez wątpienia czytacie brewiarz. Umiecie po łacinie?

Siostra Agata — Książka ta należy do naszego zgromadzenia. Zabrałyśmy ją uchodząc z Chelles.

Nieznajomy — Doprawdy?

Siostra Marta — Tak, obywatelu.

Nieznajomy — Źle kłamiecie, siostry. Nie jesteście zwyczajne kłamać! Ksiądz de Mayral jest tutaj i chcę z nim mówić.

Siostra Marta — Obywatelu...

Nieznajomy — Ah! Czy myślicie, że gram komedyę, aby uśpić wasze obawy i w ten sposób uzyskać zwierzenia i denuncyować biednego starca? Patrzcie na mnie, siostry. Czy ubranie moje czarne?

Siostra Agata — Boję się, aby nie stało się czerwone.

Nieznajomy — Czerwone! Ah! Ah! Należę do partyi, która nosi kapelusz czerwony! Lecz, gdybym nie należał do tej partyi. czy mógłbym wam ofiarować swoją protekcyę?

Siostra Agata — Nie prosimy o nią.

Nieznajomy — Pogarda ta nie jest na miejscu, obywatelko Langeais.

Siostra Marta — Ależ proszę cię.

Nieznajomy — (do siostry Marty). Słuchaj, siostro. Ty, która nie jesteś



Na fali.

szlachcianką, może pozwolisz się dać przekonać.

Siostra Marta — Słucham.

Nieznajomy — Czy wyglądam na złego człowieka?

Siostra Marta — Co prawda, nie.

Nieznajomy — Wiem na pewno, że ksiądz de Mayral jest tutaj. Lecz odejdę i zostawię was w spokoju, jeżeli mi zaręczysz, że nie mieszka z wami.

(Siostra Marta spuszcza oczy, waha się).

Siostra Agata — Zaręczamy ci.

Nieznajomy — Możecie to zaprzysiądz?

Siostra Agata — Religia zakazuje nam przysięgać...

Nieznajomy — Nie zwracam się do was jako do sióstr klasztoru de Chelles, lecz pytam się ciebie jako obywatelkę Langeais. Przysięgnij, że ksiądz de Mayral nie chowa się tutaj. Odważ się przysiądz.

Siostra Agata — Przysię......

Scena IV.

Ciż sami, ksiądz de Mayral.

Ksiądz — (ukazując się). Nie przysięgaj, siostro. Cóż chcesz odemnie, panie? Jestem ksiądz de Mayral.

Nieznajomy — Wybacz, mój ojcze. Jeżeli podniosłem głos w twoim domu, jeżeli zdawałem się grozić tym świętym niewiastom... zrobiłem to dlatego, aby cię zmusić do pokazania się, mój ojcze.

Ksiądz — Czy mam iść z tobą?

Nieznajomy — Nie, nie, mój ojcze! Nie należę do twoich prześladowców. Przeciwnie, przyszedłem cię prosić o pomoc.

Ksiądz — Cóż mogę dla ciebie uczynić? Jestem zmuszony ukrywać się. Jestem zasądzony. Ty przecież wiesz o tem, panie, a przychodzisz do mnie po ratunek?

Nieznajomy — Przychodzę do ciebie, mój ojcze, bo nie składałeś przysięgi, nie jesteś współwinnym czynom, które popełnia rewolucya. Przychodzę do ciebie, gdyż ci księża, którzy są po stronie rządu, odmówiliby mi swej pomocy.

Ksiądz — Czy masz co do zarzucenia przeciw Zgromadzeniu narodowemu? Czy pragniesz, abym cię wysłuchał spowiedzi?

Nieznajomy — Nie, mój ojcze, Służę wiernie krajowi. Wypełniam sumiennie obowiązki obywatela. Nie mam zbrodni na sumieniu. Nie pragnę spowiedzi. Przychodzę tylko prosić cię o odprawienie mszy św.

Ksiądz — Kościoły i kaplice są dla mnie zamknięte.

Nieznajomy — Wiem, że składasz ofiarę św. w tym oto pokoju. Nie zaprzeczaj, mój ojcze; nie odmawiaj mi twej pomocy; ty nie możesz mi jej odmówić. Trzeba się modlić za jedną duszę.

(Bardzo przygnębiony).

Siostra Marta — Czy straciłeś kogo z blizkich?

Ksiądz — Bądź mężnym, mój synu!

Nieznajomy — Tak, nazywaj mnie twoim synem, mój ojcze, i módl się za mnie, lecz również za tego, który już nie wróci, który umarł dzisiaj rano.

Ksiądz — Kto umarł?

Nieznajomy — Jakto? Nie wiecie?

Ksiądz — Jesteśmy zamknięci w tych oto czterech ścianach, nie widujemy nikogo; wieczorem siostry wychodzą zrobić zakupna, lecz strzegą się rozmawiać ze sprzedającymi.

Nieznajomy — Nie wiecie więc, że...

Ksiądz — Któż więc umarł?

Nieznajomy — Król Francyi.

Ksiądz — Król?!

Nieznajomy — Król Ludwik XVI.

(Ksiądz schyla głowę. Siostry padają na kolana, robią znak krzyża).

Ksiądz — W jaki sposób umarł? Zasądzili go? chyba nie odważyli się przecież...

Nieznajomy — Tak, odważyli się!

Siostra Marta — Mordercy!

Siostra Agata — Królobójcy!

Ksiądz — Świętokradcy!

Siostra Agata—Oni zabiją też niezawodnie nieszczęśliwą królowę, która znajduje się we więzieniu.

Siostra Marta — I następcę tronu, który jest również uwięziony.

Ksiądz — Pan nasz Ludwik XVI!

Nieznajomy — Może ochronią kobietę i dziecko.

Siostra Agata — Nie! nie! Ich krwiożerczość jest nienasycona. Oni również rzucą pod nóż biedną Maryę Antoninę. Potrafią ubezwładnić dziecko Francyi, prawowitego potomka korony, lilię, której nie pozwolą wyrosnąć!

Ksiądz — Waszym obowiązkiem, siostry, jest modlić się. Idźcie przygotować się do wysłuchania mszy św. Za kilka minut, gdy wybije północ zacznę ją odprawiać. Wrócicie, aby przygotować wszystko co potrzeba do ofiary Pańskiej.

(Siostry oddalają się wolno, przygnębione, powstrzymując szlochanie).

Scena V.

Ksiądz, Nieznajomy.

Ksiądz — Chciałbym, panie, zadać ci kilka pytań, lecz przy tych kobietach nie śmiałem.

Nieznajomy — Mnie?

Ksiądz — Pragnąłbym dowiedzieć się szczegółów, od naocznego świadka, te zaś mogłyby biedne siostry przestraszyć.

Neznajomy — Cóż mogę ci powiedzieć, mój ojcze, skoro sam nie wiem...

Ksiądz — Czyż egzekucya odbyła się po kryjomu?

Nieznajomy — Nie, przeciwnie, podczas białego dnia, na publicznym placu.

Ksiądz — Nie obawiali się, że tłum rzuci się na oprawców i wydrze im swego króla?

Nieznajomy — Nikt nie występował przeciw jego śmierci.

Ksiądz — To niemożliwe, panie! Przecież znajdują się jeszcze w tym kraju dusze chrześciańskie, a przynajmniej serca zdolne do litości.

Nieznajomy — Bezwątpienia są tacy, którzy potępiają skrycie takie okrucieństwa. Lecz przed tą maszyną panowało grobowe milczenie.

Ksiądz — Pan byłeś przytem?

Nieznajomy — Tak, mój ojcze.

Ksiądz — Nie wiem kim jesteś, panie. Lecz ze słów twoich poznaję, że litujesz się nad królem, którego stracono, a mimo to byłeś obecnym podczas jego egzekucyi! Nie mogę tego pojąć. Chyba, że należałeś do tych, którzy go zasądzili i teraz prześladowany wyrzutami sumienia szukasz pomocy i schronienia?

Nieznajomy — Nie! Nie! Nie głosowałem za jego śmiercią. Gdyby to było zależało od mej woli, byłby jeszcze przy życiu. Nie poszedłem tam również z próżnej ciekawości. Byłem tam, ponieważ mój obowiązek mi nakazywał, byłem jak i ci wszyscy żołnierze, którzy tworzyli nieprzebyty mur.

Ksiądz — Przebacz mi, mój synu. Nie powinienem był cię zaliczyć do tych obłąkanych, żądnych krwi królewskiej.

Nieznajomy — Można tam było widzieć twarze brzydkie, na których malowała się bezgraniczna nienawiść. Kobiety przeklinały króla, byłyby pluły na niego, nazywając go obywatelem Kapet, królowę zaś przezwali Austryaczką! Ojcowie na rękach podnosili małe dzieci, aby dobrze widziały, gdy król ich kona! Lecz byli i tacy, którzy patrzeli na to męczeństwo z taką powagą i pietyzmem, jak gdyby się znajdowali na ofierze mszy św.

Ksiądz — Boże! przebacz im wszystkim, bo nie wiedzą, co czynią! A król szedł mężnie na śmierć?

Nieznajomy — Był jak zwykle spokojny i uprzejmy.

Ksiądz — Musiał zadziwić wszystkich swojem zachowaniem się.

Nieznajomy — Drżał trochę, gdyż było bardzo zimno.

Ksiądz — Chcesz pan przez to powiedzieć, że zawahał się przed śmiercią?

Nieznajomy — Nie, mój ojcze, umarł, jak na króla przystało.

Ksiądz — Bóg mu dopomógł. Czy nie próbował przemówić do tłumu?

Nieznajomy — Nigdy nie był wymowny. Mimo to chciał wystąpić przeciw swym sędziom.

Ksiądz — I cóż?

Nieznajomy — Uderzenie w bębny przerwało mu. Poddał się więc swemu losowi.

Ksiądz — Nie do pojęcia!

Nieznajomy — Pełna twarz jego była bardzo blada i drżała. Pod batystową koszulą serce biło gwałtownie. Głowę jego położono na pniu, topór spadł.

Ksiądz — Byłeś pan blizko tej okropnej machiny?

Nieznajomy — Tak zupełnie blizko. Tłum wydał wielki okrzyk, a żołnierze, tworzący zaporę, mieli robotę lud powstrzymać.

Ksiądz — Chcieli pomścić swego króla!

Nieznajomy — Chcieli unieść strzępy ciała lub odzieży, chcieli kilka kropel krwi królewskiej.

Ksiądz — Odparto ich przecież?

Nieznajomy — Tak, mój ojcze, tylko kat mógł ograbić trupa.

Ksiądz — A z ciałem co się stało?

Nieznajomy — Ciało wrzucono w wapno niegaszone.

Ksiądz — Świętokradztwo! Świętokradztwo! Dlaczego zabili tego króla?! Cóż zrobił im złego? Tak był dobry, był za dobry!

Nieznajomy — Mówią, że obcą pomoc chciał sprowadzić.

Ksiądz — Czyż nie miał prawa bronić tronu i Kościoła przeciw bezbożności swoich poddanych? Nie rozumiesz pan tego?

Nieznajomy — Niestety! Boleję nad biednym królem. Nikt nie miał prawa poświęcać króla, aby Francyi dać wolność; lecz miałże *on* prawo masakrować swoich poddanych, aby utrzymać władzę i panowanie? Nie ma takiej ważnej rzeczy, którąby wymagała ofiary życia ludzkiego.

Ksiądz — Ci, którzy powstają przeciw królowi, powstają równocześnie przeciw Kościołowi. Czyż nie ma się prawa walczyć przeciw niewiernym?

Nieznajomy — Trzeba starać się ich przekonać.

Ksiądz — Widzę, że mniej zepsuci, do których i ty należysz, mój synu, nie zdołali ujść wpływom filozofii.

Nieznajomy — Ah! mój ojcze! Nie księgi nauczyły mnie cenić życie ludzkie. Przypatrzyłem się z blizka rozmaitym mękom, i dlatego poznałem, że, aby bronić jakiej idei, choćby nawet religi, nikt nie ma prawa pozbawiać życia człowieka. Nawet i mordercy za drogo okupują popełnione zbrodnie. Tak się przynajmniej zdaje, gdy się ich widzi młodych, w pełni sił, a się wspomni, że za kilka minut już ich nie będzie, głowa ich zostanie odłączona od reszty ciała!

Ksiądz — Uspokój się, mój synu!

Nieznajomy — Sami sędziowie świeccy czy duchowni, którzy skazują na ścinanie, powinni często przypatrzeć się swojemu dziełu: wtenczas nigdy już nie podpisaliby wyroku śmierci.

Ksiądz — Synu mój!

Nieznajomy — Ah! miłosierdzia dla wszystkich winnych, miłosierdzia dla wszystkich nieszczęśliwych i dla wszystkich tych, których przeklinamy.

Ksiądz — Aby nas tego nauczyć, Jezus Chrystus umarł na krzyżu.

Nieznajomy — Poznałem całą donio-



Powódź.

słość tej prawdy, gdym patrzał na śmierć króla Ludwika XVI.

Ksiądz — Będziemy się modlić za jego duszę.

Scena VI.

Ciż sami, siostra Agata, siostra Marta.

Ksiądz — (idzie do drzwi w głębi). Chodźcie siostry!

(Siostry wchodzą, ubrane po zakonnemu).

Siostra Marta — Przysposobimy ołtarz.

Ksiądz — Ubogi to ołtarz, mój Boże. Pomodlimy się tutaj w tym ubogim pokoiku i to będzie zapewne jedyna msza św. za spokój duszy naszego króla.

(Idzie do przyległego pokoju).

Siostra Agata — (wyjmuje z kufra bogate autypedyum, z zielonej mory i stawia przed komodą, która służy za ołtarz). Autypedyum to uszło splądrowaniu klasztoru w Chelles.

Siostra Marta —(wydobywając z innego kufra). Otóż kielich złoty wysadzany drogiemi kamieniami. Jestto podarek królewski, będzie służył do osiągnięcia zbawienia królowi.

Siostra Agata — (zapalając świeczniki). Cieńkie świeczki, o mój Boże, palą się na Twoją chwałę. Przy złotym kielichu jak nędzne ampułki do wina i wody!

Siostra Marta — Stary brewiarz zastąpi mszał, w tym talerzu wyszczerbionym ksiądz umywa sobie ręce!

Nieznajomy — (wzdychając). Ręce czyste i nieskalane.

Siostra Agata — Lecz nie mamy ciała królewskiego.

Siostra Marta — Trumna królewska powinna być pokryta drogiemi makatami i srebrnemi lilijami.

Siostra Agata — Cała szlachta Francyi powinna go podziwiać.

Siostra Marta — Armia cała powinna mu oddać najwyższe honory.

Siostra Agata — Dygnitarze koronni powinni wypełnić tradycyonalny ceremoniał.

Siostra Marta — Wielcy i mali, naród cały powinien opłakiwać swego króla.

Ksiądz — (wchodzi w bogatem ubraniu. Niesie wielki krzyż z hebanu z Chrystusem z kości słoniowej, okryty krepą). Jeżeli cała Francya nie pamięta króla, Chrystus opłakuje. (Wiesza krzyż nad ołtarzem. Siostry i nieznajomy padają na kolana. Bije północ). Wchodzimy do przybytku pańskiego.

Nieznajomy — (wstaje raptownie). Ojcze mój, ojcze mój. Muszę odejść.

(Siostry powstają).

Siostra Marta — Uspokój się.

Nieznajomy — Ot tam! tam! Widzicie go tego męczennika? Jak on na nas patrzy!

Ksiądz — To imaginacya, która cię prześladuje, nie bój się.

Nieznajomy — Ja się nie boję. Jestem silny. Jestem wszystko mogący. Ja jeden jestem może wyjęty z pod prawa, ponieważ niema króla. Nie masz króla. Módlcie się! Módlcie się! Ja was obronię, jeżeli będziecie za niego się modlić, jeżeli będziecie modlić się za mnie.

Ksiądz — Któż więc jesteś?

Nieznajomy — (pada na kolana). Jestem nieszczęśliwym, mój ojcze, jestem przeklętym. Miej litość nad moją męczarnią!

Ksiądz — Mam litość nad każdym upadkiem.

Nieznajomy — Kiedyś może, dowiecie się, (wstaje) lecz dzisiaj nie myślcie o mnie więcej. Jestem przechodniem. Prosiłbym was tylko o modlitwę za duszę króla. Módlcie się. Nie śmiałbym wam płacić tej przysługi ofiary mszy św. za spokój duszy i za przebaczenie moich grzechów.

Ksiądz — Synu mój, o jakiejkolwiek zapłacie i mowy być nie może.

Nieznajomy —Jednakowoż zechcesz przyjąć mój ojcze, tę relikwię św. (Oddaje księdzu małe pudełeczko). Poznacie jej wartość. Ojcze mój, dzięki i żegnaj!

Ksiądz — Do zobaczenia się, synu mój!

Scena VII.

Ciż sami, oprócz Nieznajomego.

Ksiądz — To dziwne.

Siostra Marta — Cóż to za tajemnicza relikwia?

Ksiądz —(otwierając pudełko). Chusteczka. (Rozkłada).

Siostra Agata — Cała czerwona od krwi.

Ksiądz — Ah!

(Drżącą ręką wskazuje jeden narożnik chustki).

Siostra Agata — To korona królewska!

Ksiądz — A to krew króla!

Siostra Marta — To krew męczennika!

Siostra Agata — Lecz w jaki sposób człowiek ten mógł dojść do tej relikwii i zbroczyć ją we krwi królewskiej?

Siostra Marta — Musiał znajdować się tuż przy tej machinie.

Ksiądz — Mówił mi... mówił mi, że tylko kat może ograbić trupa.

Siostra Marta — Więc to kat! Tak to był kat!

Siostra Agata — Więc to dlatego drżał na całem ciele i nie mógł z nami uklęknąć. Dlatego to zdało mu się, że widzi króla! Ah! Morderca, podły morderca, to on zabił nieszczęśliwego króla.

Ksiądz — Nie siostro, to nie on popełnił tę zbrodnię. Musiał słuchać niecnych rozkazów.

Siostra Agata — Powinien się był oprzeć.

Ksiądz — I sam się narazić na śmierć? To nie jest bohater! Czyż on jest więcej winnym od tej okropnej machiny?

Siostra Agata — Jak ona, jest on krwawy i przeklęty.

Ksiądz — On jest toporem ze stali.

Siostra Marta — Prawda, lecz topór ze stali okazał serce, gdy tymczasem cała Francya go nie posiada.

Ksiądz — Chodźcie siostry.

Siostra Agata — Módlmy się za tę nieszczęsną ofiarę.

Ksiądz — Módlmy się także za kata.

(Msza się rozpoczyna. Kurtyna powoli spada).



Paula Wężyk.

Zachód słońca.

Ach, tak złowrogo i tak ponuro
Tam, na zachodzie słońce się pali,
Płonie jak gdyby krwawą purpurą,
Jakby w płomiennej nuża się fali.

Ach, tak ponuro i tak złowrogo
Słońce się pali tam, na zachodzie,
Jak gdyby strasząc krwawą pożogą,
Jakby złowróżąc tobie, narodzie.

Ongi i tobie u twej kołyski
Świt się uśmiechał z niebios błękitu
I lśniły tobie słońca połyski,
Gdyś u swej chwały stanął zenitu.

O, mój narodzie, a potem chmury
Poprzysłaniały horyzont cały,
Rozległ się gromów pomruk ponury,
Głosząc kres jasnych dni twojej chwały.

Potem dni ciemnych tyle, ach tyle,
Z za chmur tak rzadko wyjrzało słońce,
Gdy blask rzuciło, to, by za chwilę
Znów zaćmić chmurą promienne gońce.

Dziś słońce znowu tam, na zachodzie
Nuża się jakby w łunach pożogi,
Może złowróżąc tobie, narodzie
Rzuca ostatnie błyski przestrogi?

O, mój narodzie, bo w mroków cieniu,
Kiedy nad głową światło ci zgasło,
Mrok zaległ ciemny w twojem sumieniu
I tyś zapomniał, że — „Bóg“ — twe hasło.

Bez tej potęgi cóż cię ocali?
Stoczysz się w przepaść, o mój narodzie...
Jak ku przestrodze słońce się pali
Krwawą purpurą lśniąc na zachodzie.

I twoje ręce piętno krwi plami,
Nieraz popełniasz krwawy mord bratni,
Przepaść cię czarną czeluścią mami,
A ten błysk słońca może ostatni?

Może ostatni raz świeci tobie,
Przeznaczonemu na mrok ponury, —
Kryjąc się w chmurnych kirów żałobie,
Spójrz, jak się pławi w łunach purpury!

Dział kobiecy.

Pacierz.

Zarówno ze względu na istotę pacierza, jak i ze względu na czystość języka zwracać trzeba baczną uwagę na dokładne wymawianie słów.

Większa część dzieci naszych, a nawet dużo młodzieży, przekręca pacierz w sposób fatalny. Błędów tych jest bez liku, a przytem inaczej zmienia słowa pacierza niekształcone dziecko z ludu, inaczej więcej ćwiczony umysł dziecka rodziców wykształconych, — my tutaj zaznaczymy tylko odmiany pospolitsze, przez ogół popełniane. I tak już przy żegnaniu się dziecko mówi:

1) „W miojca, Syna i Ducha św. Amen“ zamiast: w imię Ojca. — Ten błąd niech matkom będzie wskazówką, żeby dzieciom nie pozwolić „połykać“ głosek, lub zgoła całych wyrazów — zważać należy na wyraźne wymówienie każdej zgłoski poszczególnej.

2) Zamiast „Ojcze nasz“ mówią dzieci „Ojczynasz“.

3) W drugiej z siedmiu próśb zachodzą przekręcania dość liczne; mówią zwykle: święci imię Twoje — albo święcie imię itd. — albo święci imię itd. zamiast: „święć się“. — Starszemu dziecku można już wytłómaczyć i żądać od niego, aby sobie spamiętało, że forma słowa „święć“ znaczy np. to samo, co zapłać w „Bóg zapłać“, tj. niech ci Bóg zapłaci (bo ja sam nie mogę).

Dziecko może sobie spamiętać, że to „święć się“ innemi słowy znaczy: niechaj się święci, tj. niechaj wszędzie za święte rozgłaszanem będzie święte imię Boga!

Starszym dzieciom można tu przytoczyć, że w języku naszym mamy osobne słowo święcić, tyle co poświęcać, i drugie słowo: „święcić się“, np. w wyrażeniu „Oj, święciły się te czasy, gdy było tak a tak na świecie“, albo też wiersz, zaczynający się od słów: „Święć się, święć się wieku młody“. Wtedy dzieci mogą zapamiętać dobrze znaczenie tego słowa i już go nie przekręcą ani przy modlitwie, ani na piśmie.

4) Chleba naszego „powszechnego“ mówią ogólnie, zamiast powszedniego, tj. zwykłego, codziennego. Tu trzeba dzieciom wytłómaczyć, że powszechny znaczy tyle, co dla wszystkich, albo po wszystkim świecie, ogólny, a takiego chleba niema. — W tej prośbie chodzi o chleb na każdy dzień życia naszego.

5) I nie wódź nas na „pokąszenie“ — słyszeliśmy w jednej z naszych ochronek. — Tu należy dzieciom wytłómaczyć wyraz kusić, pokusa, pokuszenie.

6) Małe dzieci w Pozdrowieniu Anielskiem mówią: módl się za nami „grzecznemi“.

Dwanaście artykułów Składu Apostolskiego, to przynajmniej dwanaście błędów przeciętnie:

7) Dzieci ludu mówią: „który się napoczął“, zamiast samo począł.

8) Siedzi w prawicy u Boga, zamiast samo na prawicy Boga.

9) Albo: stamtąd przyjdzie sądzić „będzie“ żywych i umarłych, zamiast przyjdzie czynić co? — sądzić samo bez „będzie“.

Najgorzej jednak wygląda ów starosta rzymski, który Chrystusa Pana na śmierć skazał, bo tego to już wszyscy i mali, i wielcy, i młodzi, i starzy przekręcają i mówią:

10) pod „pońskim“, „pańskim“, „łońskim“, a czasem nawet i „końskim Piłatem“. Otóż tu trzeba wytłómaczyć, że Poncyusz to imię, Piłat nazwisko; jak np. od imienia Marcin możemy utworzyć przymiotnik Marcinowy i mówimy np. siadł pod Marcinowym dębem — żył pod pruskim królem — ukrzyżowan pod „ponckim Piłatem“. —

11) Wierzę... w „święte“ obcowanie, zamiast obcowanie świętych z Bogiem, tyle co pobyt świętych w niebiesiech.

Jeden jeszcze błąd popełnia ogół nasz, ale to już nie w pacierzu, tylko w Litanii; mówi i śpiewa: „Matko niepokolana — nie zastanawiając się nad



Pod lasem.

tem, że ten imiesłów pochodzi od wyrazu kalać, skalany a oznacza brud, plamę. Należy zatem mówić: niepokalana.

To są błędy najpospolitsze. Pilnować więc należy, aby dzieci wymawiały słowa prawidłowo i ze zrozumieniem rzeczy, gdyż tylko wtedy modlitwa jest tem, czem być powinna, tj. wzniesieniem ducha do Boga.

Śledź w spiżarni ludzkości.

Przysłowie holenderskie powiada, że Amsterdam zbudowany jest na ościach śledzia, jak Petersburg zbudowany został na kościach mużyków, których car Piotr Wielki spędził na błota i mielizny Newy, aby kopali dreny i bili pale pod fundamenty jego nowej stolicy.

Przysłowie holenderskie powstało stąd, że w średnich wiekach, gdy cała Europa ściśle utrzymywała święcenie postu i niedozwolonem było jedzenie „czerwonego“ mięsa, lecz ryby, Holendrzy zaopatrywali cały świat chrześcijański w solone śledzie. Śledź królował w Europie przez czas postu — i królem dotąd pozostał.

Dochody czerpane z połowu śledzia były tak olbrzymie, że w r. 1677 arystokracya angielska pod przewodnictwem ks. Yorku utworzyła rodzaj trustu. Rynek śledziany istniał w Londynie przez następną połowę wieku, poczem przeniesiony został do Edynburga, gdy szlachta szkocka w 1720 r. utworzyła kompanię złożoną z dwóch tysięcy członków, celem wydarcia monopolu śledzianego z rąk herbowców angielskich. Organizacye kościelne i duchowne w całej Europie baczyły nadzwyczaj surowo na ścisłe przestrzeganie postu przez publiczność, a władze rządowe i gminne ścigały surowo przestępców; karą za jedzenie surowego mięsa w czasie postu była zwykle — na początek — grzywna pieniężna i wyrwanie trzonowego zęba jako pokuta; gdy to nie pomogło, winowajca stawiany był pod pręgierz i chłostany publicznie. Gdy i to nie pomagało, czciciel pieczeni uważany był jako „opętany“ przez dyabła i poddawany egzorcyzmom i torturom inkwizycyi, kończącym się zwykle śmiertelnie.

Dzięki tak ścisłym przestrzeganiom postu, zapotrzebowanie solonych śledzi rosło bezustannie i po kilkunastu wiekach tak się rozprzestrzeniło i wkorzeniło w zwyczaje narodów europejskich, bez różnicy wyznania, iż obecnie śledź panuje w każdem gospodarstwie, najuboższem i najbogatszem.

Przemysł śledziany obecny całego świata wynosi rocznie, wedle ostatnich obliczeń statystycznych dwa i pół miliarda (2,495,000,000). Wartość jego z pierwszej ręki producentów jest 418,000,000 mk. Wartość ta podwaja się i potraja, zanim z rąk pośrednich przejdzie do spożywców. Dyrektor federalnej komisyi rybołówstwa H. M. Smith w swem ostatniem urzędowem sprawozdaniu wykazuje, że roczne zapotrzebowanie ludzkości wynosi około jedenaście miliardów funtów ryb, czyli, że na każdego żyjącego człowieka przypada rocznie około siedm ryb. Jest to cyfra bardzo umiarkowana. Jako dowód tego twierdzenia czytamy, że na pobrzeżu Kanady corocznie jeden miliard funtów śledzia pakowany jest w puszki, a tylko w magazynach w Castine, w stanie Maine, w miesiącach październiku i listopadzie ostatniego roku zapakowano i wysłano w świat dwadzieścia milionów funtów sardynek.

Pierwsze miejsce w przemyśle śledzianym dotychczas zajmuje Szkocya. Sprzedaje ona 50 procent więcej, niż Anglia, która na światowym targu rybnym zajmuje drugie miejsce. W r. 1907 połów śledzi przez statki szkockie wynosił 630,000,000 funtów. Pięć tysięcy statków rybackich i przeszło sto tysięcy marynarzy zajętych było tą pracą. Lecz oprócz tego Francya, Szwecya i Norwegia zatrudniają olbrzymią ilość ludzi i statków specyalnie w tym zakre-

sie przemysłu. Holandya już w piętnastym wieku zatrudniała z górą pięćdziesiąt tysięcy marynarzy przy połowie śledzi, a na jej brzegach przeszło ćwierć miliona ludzi znajdowało (już wówczas) utrzymanie przy pakowaniu połowu.

Wzrost ludności w Europie, zastosowanie maszyn w przemyśle, zwłaszcza jednak odkrycie Ameryki, spotęgowały przemysł śledziany do niezmiernych rozmiarów. Setki milionów funtów tych drobnych rybek wędruje corocznie do magazynów rozmieszczonych na pobrzeżach Atlantyku i Pacyfiku. Setki tysięcy ludzi znajduje utrzymanie przy połowie i w pakowaniach. Mimo to jednak ławice śledzi nietylko się nie zmniejszają, ale owszem rosną, tak, że wszelka obawa, jakoby to źródło produkcyi taniego pokarmu mogło wyschnąć, jest zupełnie wykluczone.

Sprawozdanie federalnej komisyi rybołówczej wykazuje również, że ilość ikry pojedyńczego śledzia wynosi przeciętnie 30,000, z czego dwa lub trzy nasionka rozwijają się i osiągają zwykłą wielkość. Reszta (tj. 29,997) skazaną jest na zagładę przez inne zwierzęta morskie, żyjące głównie śledziami i ich ikrą. Zniszczenie więc szerzone przez człowieka w państwie śledzia jest stosunkowo bardzo a bardzo nieznaczne, ponieważ wynosi zaledwie pięć procent w porównaniu do zagłady szerzonej zwłaszcza przez wieloryby, foki, rekiny, mewy i inne zwierzęta morskie.

Tak wygląda to jedno drobne źródło gospodarki rodu ludzkiego, i jeden kątek jego spiżarni.

Dr. Boruta.

Rznięta muzyka.

(Humoreska).

Pan radca Majoński i pan oficyał sądowy Hrycyk nie cierpieli się wzajemnie jak śmiertelne dwa wrogi... jak pies z kotem — co mówię? gorzej: jak Czech z Niemcem!... A dlaczego?... długa to historya przyczyn, dokuczań, przytyków, kłótni nawet... co jednak wszystko dla znających stosunki łatwem było do pojęcia.

Zaczęło się jeszcze przy wojsku, gdy Hrycyk, jako kapral przydzielony do abrychtunku" ajnjeryków, dostał w swoje komiśne ręce pana Majońskiego, skończonego już wówczas prawnika, ale ogromnego jak gigas i niezgrabnego jak dromedar...

Co to były za „ajncyki," jak odchodził „laufszryt," ile się na błocie nabuchało „auf — nieder! auf nieder!" — to zrozumieć może tylko ten, kto służył w obronie ojczyzny austryackiej i to przed laty czterdziestu!...

A przytem te echt komiśne kwiatki stylu!...

— Ajnjeryk Majoński! schowaj pan ten bandzioch w siebie! Paragrafy trzeba było w domu zostawić!

— Ajnjeryk Majoński! jak ja komenderuję „habt acht!" to jakby w pana piorun trzasł!

Albo czasem i gorzej:

— Psia morda, unfermy sobacze, rekruckie ucha, hergot noch a mal!

I tym podobnie.

Wreszcie pan Majoński po roku wyszedł kapralem, a Hrycyk po czternastu feldweblem... Ale pan Majoński był już sędzią powiatowym, a pan feldwebel narokował do jego urzędu jako kancelista!...

Słodkie to było spotkanie! Hrycyk zbladł i zaciął zęby, przeczuwając co go czeka, a pan Majoński szlachetny w swojej zemście, całych pięć lat, póki go z Kalinowa nie przenieśli do obwodu, wybierał, jak to mówią przy wojsku „psa" panu feldweblowi, aż mu oczy bielmem zachodziły!...

Hrycyk cierpiał i milczał — bo i co miał robić? W sercu jednakże odwet nosił straszliwy, choć nie przeczuwał ani on, ani pan sędzia, że przyjdzie koza do woza i biedny, marny kancelista będzie miał sposobność krwawo się pomścić doznanych zniewag...

Po następnych dwudziestu latach pan Majoński jako radca sądu wyższego spensyonował się i otworzył kancelaryę w Poborzanach. Można sobie wyobrazić jego minę, gdy zobaczył w sądzie przy pierwszej swojej wizycie — kogo? Pana oficyała Hrycyka!... Niedobrze mu się zrobiło, — bo j k wiadomo, urzędnicy sądowi nie lubią adwokatów... ale w końcu cóż mu znów tak dalece mógł szkodzić albo dokuczyć manipuła?....

I w istocie — w kancelaryi odbywało się wszystko zimno, po formie i prawie w porządku. Za to na ulicy pan Hrycyk nie znał adwokata!... Co gorzej prawie zawsze potrzebował przy spotkaniu splunąć pod same nogi radcy, albo udawał, że mu coś upadło na ziemię i schylał się tyłem do swojego dawnego przełożonego.

Wszystko to — i wiele innych kawałów sąsiedzkich byłby pan Majoński zniósł cierpliwie, gdyby nie orkiestra!... To już przeszło wszystko możliwe.

Była to orkierstra „rznięta" — jak ją nazwał sam jej twórca pan oficyał, nie z racyi składających się rzniętych instrumentów, ale dla rznięcia czyli rzempolenia, jakie wyprawia pod oknami willi pana Majońskiego.

Geneza jej była następująca: Pan Hrycyk kupił najstarszemu ze swoich czworga dzieci, dziesięcioletniemu Dyziowi, blaszaną trąbę, na wzór wojskowej, do zabawy. Chłopak usiadł — nie wiadomo, przypadkiem czy umyślnie — pod samem oknem kancelaryi adwokackiej pana Majońskiego na ulicy i trąbił przeraźliwie, za co pan radca swojej słudze Maryi kazał go odpędzić precz—miotłą... Skutek był ten, że pan Hrycyk solennie obiecał Marysi pysio nabić, jeżeli się poważy jeszcze raz odpędzić jego dzieci, a dla zadokumentowania swoich niezaprzeczonych praw obywatelskich, kupił i reszcie dzieci instrumenty, a mianowicie: ośmioletniej Filci chrapliwą harmonię na dwanaście klap i dwa basy, siedmioletniemu Grzesiowi ogromny bęben z piórkiem na strunie, a sześcioletni Mućko dostał wspaniałą drewnianą trąbę o przeraźliwym tonie — kazał wszystkim usiąść na trawniku przed „kauzyperdą" i rznąć co sił stanie!

Straszliwie się cieszył, słuchając tego koncertu!... Bo podczas gdy Dyzio, jak archanioł na sąd ostateczny ryczał na mosiężnej trąbie. Mucio na swojej drewnianej cudnie naśladował kozę w jej przedśmiertnych boleściach, a Filcia przy akompaniamencie grzmiącego bębna Grzesiowego bez umęczenia rzępoliła tam i napowrót rozciągając harmonię!...

Był to jakby przedsmak tortur piekielnych, jakie czekają na tamtym świecie wszystkie muzykalne panienki, wygrywające sąsiadom po całych dniach modlitwę dziewicy.

Trwało to tak już blisko dwa tygodnie...

Pan radca przemyśliwał już o przeniesieniu się do innego miasteczka, pani radczyni uspakajała go, że jesień nadejdzie, z nią deszcze i chłody, więc i dzieciarnia z orkiestrą w domu zostanie — aż pewnego dnia stało się coś niezwykłego...

Pan Majoński wybiegł na przeciw idącego rano do sądu pana oficyała, zdjął uprzejmie kapelusz, powitał prawie uniżenie i tak przemówił:

— Szanowny panie sąsiedzie! Wybacz łaskawie, że śmiem zatrzymywać, ale mam do pana wielką prośbę! Oto jutro przyjedzie do mnie na parę dni moja stara bezdzietna, a bardzo bogata ciotka w odwiedziny. Pan rozumie, że mając na uwadze jej niesporządzony dotąd testament, chciałbym jej pobyt u nas uczynić jak najmilszym. Staruszka jest niesłychanie nerwowa i

nie znosi wrzasków, więc chciałem pana uprzejmie prosić o powstrzymanie swych dzieciaków na parę dni z ich koncertami przed moim domem, za co będę panu wdzięczny do zgonu.

Pan oficyał wysłuchał nie ruszywszy kapelusza, nie odpowiedział też ani słowa, ale odwróciwszy się do radcy plecami, wrócił natychmiast do domu. W oczach jego mignął tylko demoniczny jakiś blask, a usta wykrzywił uśmiech złowrogi.

Istotnie, popołudniu zajechała starsza dama do państwa Majońskich i — w pięć minut potem kwartet Hrycyków stał gotów do serenady pod oknami adwokata!.... Komendę dał Dyzio.

— Wal bębnie austryacki! huknął na Grzesia.

— Rznij trąbo jerychońska! — odkrzyknął tenże.

— Becz kozo boleściwa! — obaj wezwali Mućka i w tej chwili rozległy się akordy harmonijne z dysonansami, któreby najzagorzalszego modernistę o szaleństwo przywieść mogły.

Nie mniej nie więcej tylko trzy dni trwały te tortury muzyczne przed domem radcy. Na obiad szły dzieci po jednemu, żeby nie przerywać grania, a wieczorem ledwie koło jedenastej spracowane gęby szły na spoczynek!... Chra! chra! chra! zgrzytała harmonia; trrr! prrr! brrr! huczał bezustannie bęben — a dwie trąby prześcigały się w piekielnych rykach.

Czwartego dnia owa staruszka odjechała na dworzec... Hrycykowie kładli się po sofach ze śmiechu, że takiego figla urządzili sąsiadowi — gdy listonosz przyniósł miejscowy list.

„Zacny panie sąsiedzie! — czytał w nim pan oficyał — nie mam słów na podziękowanie panu za uczynioną mi niezmierną przysługę. Gościem moim nie była bowiem, jak to zmyśliłem, żadna ciotka, tylko nieznośna, terkotliwa matka mej żony, alias teściowa, która zapowiedziała się do nas na trzy miesiące!... Zrozumie kochany pan, jak wdzięczny jestem dzieciom pańskim, że muzyką swoją wypędziły już po trzech dniach zdenerwowaną babę, która miała mi trzy miesiące zatruwać życie swoją obecnością!... Możliwe, że jej się przecież jeszcze kiedyś zechce nas uszczęśliwić.... ale ja już z góry pomoc pańską sobie zapewniam i sądzę, że jej pan nie odmówi

życzliwemu słudze

Majońskiemu."

. . . .

Koncerty ustały raz na zawsze! Radca żył odtąd spokojnie jak w niebie, bo pan oficyał w obawie wyrządzenia mu znów przysługi, dzieciom surowo zakazał wszelkiego grania na ulicy!...

Humor i satyra.

Szczęśliwy narzeczony.

— Córka: — Kiedy wczoraj przyjęłam oświadczyny mojego narzeczonego, przez cały kwadrans słowa nie wymówił, taki był szczęśliwy.

Ojciec: — Pewnie obliczał, wiele ci się po mnie dostanie.

* * *

Między kolegami.

— Jakże się miewa twój nowy pacyent?

— Wcale nieźle! Dyagnozy jeszcze mi się nie udało wprawdzie postawić, ale zapisałem już lekarstwo a choróbka pomału sama się pokaże.

* * *

Amator starożytności.

— Ale czy naprawdę ten fotel pochodzi z XVII. wieku?

Kupiec: — To nie ulega żadnej wątpliwości. Kiedy go kupiłem był tak zjedzony przez robaki, że musiałem dorobić nowe poręcze, nowe siedzenie, nowe oparcie i trzy nogi.

* * *

W restauracyi.

— Cóż to u was kotleciki takie małe?

— To nic, za to może pan dobrodziej zjeść ze trzy parcye...

* * *

Także talent.

Opiekun: — Nie pojmuję, jak możesz tak dużo pić?

Student: — Ja sam się nieraz dziwię... ale to musi być odziedziczony talent.

* * *

Geniusz handlowy.

Ojciec: — Jak ci, Władziu, podoba się twój nowy braciszek, którego ci bocian przyniósł?

Władzio: — Czy to on sam już jest tatusiu, czy to tylko próbka?

* * *

Niezawodny sposób.

Właściciel podmiejskiej restauracyi: — Wojciechu, idźcie no i nasypcie trochę tłuczonego szkła na drogę, żeby te automobilisty do nas zajechały.

* * *

W zajeździe na prowincyi.

Służąca dobijając się do drzwi: — Proszę pana, niech pan wstaje, już blisko dwunasta.

Gość: — A cóż wam to szkodzi, że ja śpię?

Służąca: — Potrzebne nam prześcieradło, bo już czas nakrywać do stołu.

* * *

Cięty.

Pan do dorożkarza: — W tej dorożce chyba psy wozisz?

Dorożkarz: — A tak, proszę pana... Gdzie mam jechać?

* * *

Gruba różnica.

A.: — Mówiłeś przecież, że pan Gapski jest bogaty?

B.: — Przepraszam, wcale tego nie mówiłem; powiedziałem tylko, że ma więcej złota niż rozumu.

* * *

W teatrze.

— Myślicie, Łukaszu; że na scenie podają prawdziwe potrawy... Ta szynka jest z tektury, a ciasto strugane z drzewa.

— O jej, jakie ci aktorzy muszą mieć strawne żołądki.

* * *

Trudne pozwolenie.

— O czem tak zamyśliłeś się? — Widzisz... chciałbym się żenić z panną Maryą, i nie wiem, czy dostanę pozwolenie.

— Od jej rodziców?

— Nie, od moich... wierzycieli.

* * *

Złe świadectwo.

Bankier do syna: — Przeszły raz przyniosłeś dobre świadectwo ze szkoły, a dziś takie złe. Widzę, żeś spadł na ostatniego?...

Syn: — Tate, a czy twoje papiery też nie spadną?...

* * *

Otwarty.

— Więc bankier X. jest pańskim pacyentem... Jak długo potrwa jego choroba?

Lekarz — W każdym razie długo, wszak jest milionerem.

* * *

Tylko różnica zdań.

— Co to za awantury dziś się u was działy? Myślałem, że dom się zawali.

— Awantury? Nie przypominam sobie... Ach! już wiem: moja żona była innego zdania niż ja.

* * *

U kupca.

— Czy czasem ta herbata nie smakuje jak siano?

— Nie mogę pani powiedzieć, bo nigdy siana nie próbowałem.

* * *

Dotrzymał obietnicy.

— Jak tam, panie majstrze, obiecaliście mi przez osiem dni nie wypić ani

kropelki piwa. Czy dotrzymaliście słowa?

— Tak, panie doktorze, w ostatnim tygodniu piłem tylko samo wino.

* * *

Tadeuszek.

Raz swawolny Tadeuszek
Nawsadzał w flaszeczkę muszek
I rzekł, flaszeczkę stawiając na stronę,
— Co konstytucya — niech też wiedzą one.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 13-go lutego 1386 poselstwo Jagiełły do Jadwigi. — 1716 Fleming zaledwie życie unosi z Piotrkowa. — 1825 ukaz zamykający obrady sejmowe przed publicznością.

Dnia 14-go lutego 1386 chrzest Jagiełły i zaślubienie Jadwigi. — 1422 małżeństwo Władysława Jagiełły z Zofią. — 1792 zaprzysiężenie na sejmikach konstytucyi 3-go maja. — 1831 zniesienie Moskwy pod Stoczkiem.

Dnia 15-go lutego 1383 wszczęta wojna domowa o wybór króla. — 1563 posłowie pruscy na sejmie piotrkowskim. — 1656 przez manifest w Zembowie Karól IX. ogłoszony najezdzcą Polski.

Dnia 16-go lutego 1241 Tatarzy pogrążeni pod Turskiem. — 1704 otwarcie sejmu w Warszawie na żądanie Karola XII.

Dnia 17-go lutego 1386 koronacya Władysława Jagiełły. — 1387 Władysław Jagiełło przywilejami obdarza Litwę. — 1574 wjazd do Krakowa Henryka Walezyusza.

Dnia 18-go lutego 1454 Prusacy składają przysięgę wierności w Krakowie. — 1577 sejm ustanawia stałe podatki. — 1634 poddanie się Moskali pod Smoleńskiem. — 1726 śmierć hetmana Adama Sieniawskiego. — 1831 rozprawa z Moskwą pod Okuniewem. — 1846 rozpoczęcie rzezi galicyjskiej.

Dnia 19-go lutego 1473 urodzenie Mikołaja Kopernika. — 1578 Stefan Batory ustanawia trybunały w Piotrkowie i Lublinie. — 1594 koronacya w Upsali Zygmunta III. na króla szwedzkiego. — 1629 bitwa ze Szwedami pod Górznem. — 1613 sejm nadzwyczajny z okoliczności konfederacyi wojska. — 1831 bitwy z Moskwą pod Wawrem i Ryczywołem. — 1831 zawiązanie Towarzystwa patryotycznego podolskiego.

ZAGADKA.

Nadesłał czytelnik naszego pisma p. Andrzej Surdyk z Witkowa.

a, al, ak, blag, bło, cią, chód, ce, ce, cła dór, el, erp, far, fisz, fu, fe, gu, i, in, izm, jasz, jew, ki, ki, kał, lid, ma, mo, mo, mo, nid, note, nor, niec, ody, rzep, ra, ra, sa, sa, wo, wa, wi, zdź, ż, za.

Znaczenie wyrazów:

1) rodzaj porcelany,
2) gatunek należący do rodzaju kapusty,
3) nowe srebro,
4) prawidło,
5) inaczej hantle,
6) pierwszy z czterech wielkich proroków z VII. w. przed Chr.
7) inaczej automobil,
8) łodyga,
9) miasto w Prusach Zachodnich,
10) inaczej chodaki,
11) wiara w jednego Boga,
12) znakomity stylista i pisarz dramatyczny z XIX. wieku,
13) wieś w Królestwie Polskiem, pamiętna świetnem zwycięstwem Tadeusza Kościuszki,
14) ogłoszenie,
15) pierwiastek chemiczny, czyli gaz bezbarwny,
16) sławny wódz plemion słowiańskich z VII. stul. po Chr.,
17) wyspa na Oceanie Lodowatym, północnym,
18) żołnierz stający się niezdolnym do wykonywania swego powołania.

Z powyżej podanych zgłosek tak ułożyć wyrazy, aby początkowe litery, czytane z góry na dół, dały imię i nazwisko pisarza-poety z XVIII. i XIX. stul., a końcowe litery, czytane z dołu do góry dały tytuł jego poematu.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 17-go lutego włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie zagadki.

Rozwiązanie zagadki, zamieszczonej w numerze 4-tym.

J
p a w
t e n i s
b r u k i e w
M a g d a l e n a
p r a w o s ł a w i e
J a n K a s p r o w i c z
f i s h a r m o n i a
B e n i o w s k i
k r a w i e c
m n i c h
a c h
z

Jan Kasprowicz.

Dobre rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 27-go stycznia r. b. następujące osoby:

Z Poznania: pp. Jadwiga Nieniewska, Edmund Ruciński, Fr. Kledecki i J. Kledecki, Ludwik Świerkowski, Janek z pod Góry Przemysława.

Z Poznańskiego: pp. Czesława Dokowiczowa z Kostrzyna, Stasia Rychlicka z Krotoszyna, Jan Wachowski z Niechanowa, Pelagia Lobermeyer z Bledzianowa, Teodor Jasiak z Komorza (powiat jarociński).

Ze Śląska: pp. Berta Badura z Roździenia, Stefania Malinowska z Jabłonkowa (Śląsk austryacki),

Z Galicyi: pp. A. Świerkosz z Krakowa, Ks. Franciszek Baniewski z Wadowic, Piotr Brożbar z Jarosławia, Zarząd szkoły 6-tej klasy żeńskiej w Brzesku, Br. Marzec z Bochni, Karol Dąbrowski z Wieliczki.

Nagrodę otrzymali: pp. Czesława Dokowiczowa z Kostrzyna, Stefania Malinowska z Jabłonkowa (Śląsk austryacki) i Karol Dąbrowski z Wieliczki.

6)

Zaręczyny panny Feli.

Napisała E... B...

(Dokończenie).

— To ty swego nie wtykaj. Ja do postanowienia córki największe mam prawo, a jak mężczyzna w domowe sprawy się miesza to zawsze głupstwo zrobi.

Pan Głocki podrapał się w głowę.

— Ej milcz już, bo dokuczasz — krzyknął.

Weszła Fela poważna, wspaniała z ironicznym uśmiechem na ustach.

— Ojciec myśli tylko o mojem szczęściu. Miło mi ten dowód myśli widzieć. — Wiedziała, że ironia najbardziej ojca dotknie.

— Wolałabyś mnie wybić — wrzasnął granatowy ze złości.

— Teraz niechże się ojciec przygotuje, że zostanę starą panną, bo za lada kogo nie pójdę.

— Dam ci księcia! !

— Bajki, zostanę starą panną, i umrę, bo moje usposobienie jest takie, że potrzebuję wyjść za mąż, tak, studyowałam tyle, że znam prawa natury, lecz nie pójdę za lada kogo i umrę — dodała patetycznie. Matka ręce załamała.

— Mówiłam, trzeba, żeby doszło do skutku, mówiłam, że schudnie, a ona mówi, że umrze, może nie umrze, ale zżółknie i schudnie. Matko najświętsza, co ten człowiek zrobił!

— Bodaj was — jęknął stary — ot nasłanie Boże! —

Jaki grad słów posypał się z eleganckich ust pani Głockiej tego żadne pióro nie opisze. W pewnych razach umiała ona dosadnio się wyrażać.

Mijały dnie, tygodnie i miesiące.

Spokój wygnany został z domu państwa Głockich, i raz pierwszy w życiu, bogacz przekonał się, że nie tylko pieniądze dają szczęście. Przez całe życie małżonkowie kłócili się i krzyczeli, lecz gdy szło o zysk choćby 10 fenygów, godzili się zawsze, bo cel ich życia był jeden, lecz to było coś więcej, jak zwykła kłótnia domowa, do której oboje przywykli, tu dzieliła ich różność zdań i dążeń.

Pani Głocka, jakkolwiek żyła życiem bardzo prozaicznem, lecz gdy los postawił ją na tej wyżynie, na jakiej stała teraz, pozwalała sobie marzyć troszeczkę. Oto treść tych marzeń.

Ulicą wielkiego miasta jedzie pyszna kareta z herbami i hrabiowskiemi koronami, zaprzężona cudnemi końmi, służba w bogatej liberyi, a cały ekwipaż kilkanaście tysięcy wart, same pieniądze jadą, z daleka widać bogaczów. W powozie siedzi ona i słyszy, jak ktoś z piechurów pyta się: — czyj to ekwipaż taki wspaniały, jak cesarski? — Odpowiadają: To jedzie matka pani hrabiny Mioskiej, swoim własnym ekwipażem, pani hrabina Głocka. — Bo i ona musi być hrabiną, aby nie robić wstydu córce. A ten tyran mąż, wszystkie cudne marzenia w niwecz obraca.

Miałże się z pyszna biedaczysko, lecz bardziej jak krzykliwe sceny żony, bolał go żal, jaki mu okazywała córka. Jedyna istota, którą on w życiu swem kochał, była Fela, i ta nie chcąc zrozumieć pobudek ojca, traktowała go jak najgorzej. Nie robiła mu wprawdzie scen żadnych, tylko drażniła go ironią i była dla niego lodowatej obojętności. Tak więc Fela miała zwyczaj, mówić ojcu dobrydzień i dobranoc, dawniej ojciec lubił popieścić jej ładną, ufryzowaną główkę, teraz spełniała ten obowiązek tak urzędownie, że Głocki w złości rzekł:

— Wolisz mnie nawet głową nie kiwnąć, jak tak w rękę całować.

Odtąd Fela trzymała się słów ojca, i nawet głową nie kiwała.

Innym znów razem Głocki sprowadził dla niej ładną bardzo i kosztowną suknię; myślał, że ją bogatym podarunkiem ułagodzi. Fela uśmiechnęła się.

— Ojcu się zdaje, że za wszystko zapłacić można, i od wszystkiego pieniędzmi wykupić. Mnie te dary nie rozczulą.

— Czegoż chcesz?! — spytał zły i zmartwiony.

— Jeszcze się pyta — zawołała żona — czego?... Mioskiego.

— Felko, powiedz-że mi prawdę, ty się w nim kochasz? — rzekł łagodnie i prosząco ojciec.

A juściż, że się kocha, taki tęgi chłopiec, czemu się nie kochać, i pan hrabia — za córkę odparła matka.

— Komedyi grać nie myślę — zwolna wycedziła Fela — podoba mi się dosyć, ale do miłości daleko, zresztą nie jestem z tych, co to jak głupie gąski szalenie się kochają, ale wiem, że żaden inny, jak tylko taki odłużony i okrzyczany Mioski, starać się o mnie będzie, a ja muszę wyjść z tej ciasnej sfery, w której żyję, wśród której duszę się — zawołała niecierpliwie.

— Jak ci nie idzie o Henryka, to ci dam kogo innego, księcia prawdziwego.

Fela wzgardliwie ruszyła ramionami.

— Księcia niema i nie będzie, to płonne marzenie.

Głocki w desperacyi posyłał po Mośka, swego powiernika, aby mu pomógł księcia dla córki wynaleźć.

— Już jak ty Mośku nie poradzisz, to z babami przepaść przyjdzie, tak człowieka gryzą — mówił.

Żyd nie lubił teraz przychodzić, jak dawniej, na długie gawędki do swego pana. Zdradzał go raz pierwszy w ciągu długoletniej spółki, i sumienie na widok Głockiego, choć przygłuszone rozmaitemi sofizmatami, budziło się i drażniło poczciwego Mośka. To mu jednak nie przeszkadzało odegrać komedyi wcale dobrze, udawać, że szuka owego bajecznego księcia, nie znaleźć go, a wreszcie od niechcenia wspomnieć, że Mioski długi spłaca.

Głocki chwycił się za głowę.

— Zkąd ma pieniądze, zkąd?

Mośko zmieszał się, coś go w gardle ścisnęło, ale szybko opamiętał się i opowiedział całą dość prawdopodobną historyę o sprzedaży lasów, układach z fabrykami itd.

— Ja nieszczęśliwy — mruczał Głocki. — Mośku to wszystko przez ciebie — zawołał gwałtownie, aż mu żyły na czole nabrzękły. — Mośko przestraszył się.

— Panie ja prawdę mówił, ja zliczył wszystkie długi, ale jest przypowiastka, pan i kot, choć spadną, zawsze na

...gi stoją; tak i pan Mioski, jemu było kiepsko, taj przyszła ...brika i jego wiciągi.

Głocki posiniał. — Co ja najlepszego zrobił, dziecka los ...grodził! — Po chwili milczenia dodał, jako pociechę: — ...o co, że teraz z długów wyjdzie? znowu jeszcze wię...zych narobi.

Żyd zaczął cmokać ustami, skrobać się w głowę ...wzdychać, trudno mu było słowo wymówić, odetchnął ...ężko i rzekł cicho, bojaźliwie:

— Kto tam tych panów wie. Teraz siedzi w domu ...swego geszeftu pilnuje, aj waj, jak pilnuje!

Głocki stanął przed oknem i zamyślił się, z czego ko...zystając Mośko, wymknął się po cichu.

Przeszło już miesięcy kilka od czasu zerwania z Mio...kim. Księcia nie było, choć Głocki woził córkę do War...zawy i Krakowa, do kąpieli morskich i wód zagranicą, nie ...trzymując się nigdzie dłużej, bo gorączka jakaś niecier...liwości ogarnęła go, o księciu ani słychu.

Uwierzył święcie poprawie tego, jak mniemał niepo...rawnego grzesznika, uwierzył nie dlatego, by miał jakie ...ane po temu, ale dlatego, że chciał uwierzyć, bo i stary lis ...zasem w pułapkę wpada, a dręczony przez żonę i córkę ...decydował się ustąpić. Z tem poszedł do córki.

— Ha — myślał sobie — może już skończą się te ...wantury.

Zastał Felę w najgorszym humorze. Dowiedziała się, ...e Henryk stara się o pannę Leontynę N. Zaledwie zoba...zyła ojca, gdy mu to oznajmiła, ze swym spokojnym, niby ...onicznym uśmiechem.

— To być nie może — zawołał Głocki — ja już po...walam.

— Za późno.

— Nie za późno, radź, ty masz rozum, my mamy wię...sze do niego prawa, jak tamta.

— Jakie? ojciec odmówił... stało się!

— Nie męcz mnie, dość tego; może ja głupi, że pozwa...m, może ja nieszczęście na swoję głowę nawlekam, mó...ią, że Mioski ustatkował się, niechże tu przyjedzie, pobło...osławię, nie mogę znieść, żeby rodzona córka jakieś mą...e miny stroiła na mnie, ja tego nie wytrzymam, ja prze...adnę — wybuchnął gwałtownie, chodził wielkiemi kroka...i po pokoju cały wzburzony, a córka spoglądała nań ...uśmiechem tryumfu.

— Ja napiszę do Henryka — rzekła spokojnie.

— Nie można, zaafiszujesz się.

— Oto!... albo to ja raz pisałam — zaśmiała się — to ...dobrem towarzystwie żadna kompromitacya.

— Więc napisz, niech tu przyjedzie. Szkoda mi tego ...łopca, taki wesoły; no i partya dobra. — Stał chwilę i pa...zył na córkę. — No Felko, już teraz nie będziesz gniewać ...ę na mnie.

— A jak Henryk już zaręczony?

— To zerwiemy, tyś dwa razy bogatsza i ładniejsza.

Fela uśmiechnęła się wesoło, pewną była wygranej; ...całowała ojca w rękę serdeczniej, po dawnemu. Pan Gło...i w dobrym humorze uścisnął córkę.

— Weselisko wyprawimy, ale co z posagiem, to bę...iemy trzymać w garści; prawda Felko?

— O koniecznie ojcze, koniecznie — odparła żywo i za...ała się do pisania listu.

„Nie mam żadnej odpowiedzi na ostatni mój list — pi...ła — wiem, co znaczy to milczenie, i zapowiadam, że ża...ym tłumaczeniom nie uwierzę. Starasz się pan o pannę ...eontynę, domyślam się, że za namową matki Pańskiej, za...iewanej na nas. Czy niema sposobu przebłagać jej? ...am nadzieję, że nie będzie zawziętszą, jak mój ojciec, który już gotów błogosławić des deux mains. Przebaczam szturm do serca Leontyny, i za karę rozkazuję panu jak najprędzej się tu stawić. Dalsze wyjaśnienia po widzeniu zostawiam.“

* * *

Pan Henryk, jak przewidywał, wziął odkosza od panny Leontyny. Przez te kilka miesięcy wwikłał się w coraz gorsze interesa, a choć równie jak pan Głocki księcia dla córki tak pani Mioska bogatej panny dla syna znaleźć nie mogła, bo Henryk miał ustaloną reputacyę gracza i utracyusza. Długi przyciskały, groziła ruina kompletna. List Feli przyszedł w samą porę, szło tylko Henrykowi, aby stary Głocki pierwszy krok do zgody zrobił; odpisał więc pannie Feli tysiąc czułości, lecz matka jego tak przeciwna temu małżeństwu, żo on jako dobry syn nie może iść wbrew jej woli, jednak ma nadzieję, że zawziętość jej ustąpiłaby, gdyby pan Głocki przeprosił ją, ponieważ cały żal ma właśnie do niego.

Fela gwałtownie chciała ojca wyprawić z przeprosinami do pani Mioskiej, lecz ten jakoś się ociągał.

— Ze swemi pieniądzmi się napraszać, do czego to podobne! — mówił.

Na szczęście zakochanej pary w okolicy były imieniny w domu, gdzie bywali Mioscy i Głoccy, spotkanie zatem nastąpiło. Pani Głocka pod ścisłym nadzorem córki ubrana bogato i z gustem weszła do jasno oświeconego salonu, napuszona jak zwykle na wielkie okazye, a zobaczywszy panią Mioską, posunęła się ku niej bezprzytomna prawie, z wyciągniętemi rękoma, gotowa rzucić się jej na szyję. Matka Henryka powstrzymała ją w tym zapędzie.

— A kochana pani Głocka, bardzo mi miło, że panią Głockę widzę zdrową, bardzo mi miło — rzekła protekcyonalnie.

Parę osób bliżej stojących uśmiechnęło się lekko.

— Pani hrabino — wyrzekła błagająco Głocka — ja jestem zupełnie niewinną, ja jestem niewinność sama, i ponimo tyranii mego męża, utrzymałam się przy niewinności, lecz i on także jest żałujący, pani hrabina niech...

— Nic nie rozumiem co kochana pani Głocka mówi,

— Kochana pani Głocka otworzyła usta, chcąc się wyraźniej tłumaczyć, gdy Fela mocno za rękę ścisnęła matkę. — Potem, potem — szepnęła, a pani Mioska zręcznie usunęła się na bok, i tak umiała się otoczyć, że dwóch słów z nią niepodobna było pomówić.

Tymczasem zaczęły się tańce, Henryk był ciągle obok Feli, tańczył z nią dużo, lecz choć asystował córce. od ojca uciekał, aż wreszcie Głocki już prawie pod koniec wieczoru, złapał go w bocznym saloniku samego jednego, odpoczywającego po szalonym kotylonie.

— Mam cię ptaszku, mam — zawołał uradowany ojciec Feli. — Wiesz, już, że pozwalam, błogosławię.

— Tak, więc przekonał się pan,że nie jestem utracyuszem — rzekł Henryk zimno — ale matka moja jest przeciwną bardzo.

— Przecież nie z kamienia!...

W tem pani Głocka, która śledziła każdy ruch Henryka i swego męża, ukazała się we drzwiach saloniku.

— Ah Janûre i pan hrabia razem, a zatem nazywać będę „cher gendre.“

— To zależy od mojej matki.

— Czy tak? jest i na to rada. — Pani Głocka przybliżyła się do Henryka, wsunęła mu swoję rękę pod jego ramię, i solennie wyrzekła: — Janûre zrób to samo. — Mąż i Henryk patrzyli zdziwieni.

— Janûre zróbże to samo, w tej postawie z rękami

wyciągniętemi pójdziemy do pani hrabiny, i powiemy; dla szczęścia dzieci przebacz!

— Tak — zawołał Głocki — to ja wpół wezmę kochanego Henrysia i zaniosę, byle temu koniec.

— Janûre, robisz jak człowiek bez edukacyi, bierze się pod rękę, i idzie.

Ale pan Henryk zaprotestował, wysunął ramię z objęć pani Głockiej.

— Nie pani, to być nie może, to scena zbyt rozczulająca.

— Tem lepiej, tem lepiej, cher gendre, chodźmy tak, niech wszyscy widzą, to scena prawdziwie rozczulająca — powtarzała pani Głocka.

— Chodźmy, dobrze, dobrze — aprobował pan Głocki.

Koniec tej scenie rozczulającej położyła Fela, zapytując tonem wyniosłym, co to ma znaczyć. Matka wystąpiła ze swą propozycyą. Córka wybuchnęła:

— Mama ma zawsze dzikie pomysły. Panie Henryku, pani Mioska unika nas wyraźnie. Proszę pomówić z nią stanowczo, bo ja dłużej w tej śmiesznej i fałszywej pozycyi zostawać nie chcę. Mój ojciec ponieważ sam wszystkiemu winien gotów przeprosić, lecz tylko w razie, gdy się to na co zda. Matka pańska, widziałam, jak wyszła do swego pokoju. Idź pan i rozmów się, niech się to już raz skończy!

Henryk posłuszny poszedł i zastał matkę niespokojnie przechadzającą się po pokoju.

— Henryku! — zawołała, łamiąc ręce — czy ty seryo o niej myślisz?

— Mama wie, że innej rady niema.

— Des caricatures, i to rodzice twojej żony, nie pozwolę za nic, ludzie z innego świata!

— Zapewne, oni bogaci, a my zrujnowani, proszę mamy, trzeba to już skończyć. Stary mamę przeprosi, a mama przebaczy.

— Co! ja przebaczyć takie obejście, taką zniewagę, nie mogę przebaczyć.

— To wszystko dobrze, a ja ginę.

Pani Mioska zaczęła płakać.

— Wszyscy się z nich śmieją.

— I przyjmują, bo bogaci.

— Co świat na to powie?

— Powie, że mam rozum. Mama wie, że jak się ma pieniądze, to się ma i pozycyę, i szacunek. Fela ładna, ucywilizuje się, będzie jak każda, niema co dłużej opierać się.

Matka wzdychała, buntowały się w niej wszystkie uczucia złe i dobre. Duma i szlachetność, nawyknienia i wyobrażenia arystokratyczne, lecz przemagało to głębokie przekonanie, że bogactwo swym złotym płaszczem okryje wszystko i świat nie będzie mieć Henrykowi za złe tego małżeństwa.

Chwilę długą trwało milczenie, syn niecierpliwie spoglądał na matkę. Matka wzdychała i łzy ocierała.

— Nie to dla ciebie marzyłam — szepnęła boleśnie.

W tem otworzyły się drzwi z impetem i wpadła zaaferowana pani Głocka. Już wzruszenie jej zwracało uwagę drugich, tak że ją córka pilnować i mitygować musiała, ale matka wymknęła się jej i pociągnęła męża za sobą, zdecydowana szturmem zdobyć błogosławieństwo matki Henryka.

— Pani hrabino przebacz! — wołała — mąż tu idzie, aby hrabinę sforsować, ja proszę nie bądź hrabino kamienną.

Za drzwiami stał Głocki pokorny, słodziutki, drżący prawie.

— Człowiek jest grzeszny — rzekł, tłukąc się w piersi — ale jam dla dziecka wszystko robił. Szanowną panią dobrodziejkę poważałem i poważam i przepraszam, nie przestąpię tego progu, aż pani dobrodziejka mnie uniewinni.

— Niech się dzieje wola Boża, kiedy takie przeznaczenie, niech Bóg błogosławi — stłumionym od łez głosem wyrzekła pani Mioska.

Zawołano Felę, nastąpiły uściski i błogosławieństwa, a pani Głocka rzuciła się mężowi na szyję.

— Janûre mon ami, dziś w tej uroczystej chwili powiedam, wdzięcznam ci za córkę hrabinę! — a ściskając Felę, szepnęła w upojeniu: — Mon gendre hrabio, córko hrabino!

KONIEC.

Leon Rygier.

Dopóki młodość trwa..

Dopóki młodość trwa,
Pieśniarzu płakać grzech!
Niech oschnie żalu łza,
Zadźwięczy zdrowy śmiech.
Przez ramię przewieś lutnię
I w świat wesoło, butnie!
Niech samo serce gra,
Dopóki młodość trwa!...

Hej! w żyłach płonie krew,
Hej! w piersi uczuć żar...
Na ustach — dźwięczny śpiew,
W około — orszak mar!...
Piosence wtórzą echa,
Słoneczko się uśmiecha
I wabią oczy dziew...
Hej w żyłach płonie krew...

Ot — spojrzyj!... Białych chat
Długi się wije sznur!...
A w każdej cudny kwiat,
Kwiat lasów, pól i gór!...
Z uśmiechem i piosenką
Hej! żwawo pod okienko
Wszakżeś ty druh i brat
Tym sercom z białych chat!

I na co chmurzyć skroń,
I na co ronić łzy?
Ot — lepiej szczęście goń,
Co ziemskim rajem lśni!
Wśród nowych łąk kobierca
Otworzą ci się serca,
Dłoń bratnia ściśnie dłoń!...
I na co chmurzyć skroń?

Dopóki młodość trwa,
Pieśniarzu płakać grzech!
Niech oschnie żalu łza,
Zadźwięczy zdrowy śmiech!...
Przez ramię przewieś lutnię
I w świat — wesoło, butnie!...
Niech samo serce gra,
— Dopóki młodość trwa!...

WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum. **R. S.**

(Ciąg dalszy.)

— Wiesz ojcze, gdzie znajduje się jej pokój?

— Tak, w tym samym korytarzu, trzeci pokój na prawo.

— To pokój błękitny, rzekł Valméras, tam prowadzą podwoje, będziemy mieli mniej pracy.

W stosunkowo krótkim czasie udało im się wyważyć jedną połowę drzwi.

Ojciec Beautrelet zdecydował się uprzedzić młodą dziewczynę.

W dziesięć minut później wyszedł z pokoju w towarzystwie kobiety.

— Miałeś słuszność, rzekł do syna, to panna de Saint-Véran.

Wszyscy czworo zeszli na dół. Valméras schylił się nad leżącym bezwładnie człowiekiem, a uprowadzając ich do pokoju, którym weszli, rzekł.

— Nie umarł, żyć będzie.

— Ah! westchnął Beautrelet z pewną ulgą.

— Na szczęście, ostrze mego noża zesunęło się . . . pchnięcie nie jest śmiertelne.

Wyszedłszy z pałacu zostali przyjęci przez owe dwa kolosalne psy, które odprowadziły ich aż do furtki. Tam, Beautrelet odnalazł przyjaciół, i małe to towarzystwo opuściło park. Była trzecia godzina z rana.

Zwycięstwo to nie mogło zadowolić Izydora Beautrelet. Umieściwszy bezpiecznie ojca i młodą dziewczynę, wypytywał ich o osoby, które w zamku mieszkały, a szczególniej wypytywał się o wszystko, co się tyczy Arsena Lupin. Dowiedział się więc, że Lupin co trzy lub cztery dni przyjeżdżał wieczorem automobilem, a rano wracał. Za każdej swojej bytności odwiedzał obydwóch więźniów, którzy nie mieli dosyć słów na wypowiedzenie jaką grzecznością i względami ich otaczał. Na razie Lupin nie musiał się znajdować w zamku.

Oprócz niego widywali tylko starą kobietę, która zajmowała się domem i gospodarstwem i dwóch ludzi, którzy ich strzegli, dwóch podwładnych zapewne, sądząc z postawy i fizyognomii.

— Mimo to są oni dwaj wspólnicy, zauważył Beautrelet, a właściwie trzej, licząc kobietę. Jest to gruba zwierzyna, której nie trzeba pozwolić umknąć. Nie traćmy więc czasu...

Wskoczył na rower, pojechał do Eguzon, zbudził żandarmeryę, jednem słowem cały świat poruszył, i koło ósmej wrócił do Crozant w towarzystwie brygadyera i ośmiu żandarmów. Dwóch zostawiono na straży przy wozie, dwóch postawiono przy przejściu w murze, a czterech z Izydorem Beautrelet i Ludwikiem Valméras udało się głównemi drzwiami do zamku.

Za późno. Bramę już zastali na rozcież otwartą. Jakiś wieśniak powiedział im, że przed godziną automobil wyjeżdżał z zamku.

Dokonana rewizya nie dowiodła niczego. Znaleziono tylko kilka obroży, trochę bielizny, kilka garnków... to wszystko.

Co zadziwiło Izydora Beautrelet jak również Ludwika Valméras, to zniknięcie rannego. Nie spostrzegli nawet najmniejszego śladu walki, na posadzce nie było kropli krwi.

Tak więc żaden dowód widoczny nie mógł świadczyć o bytności Arsena Lupin w zamku Aiguille. Nawet możnaby posądzić o kłamstwo Izydora i Ludwika Valméras i starego Bautrelet i pannę de Saint-Véran, gdyby w końcu nie wykryto, obok pokoju zajmowanego przez pannę de Saint-Véran, z pół tuzina przecudnych bukietów, z przypiętą karteczką „Arsen Lupin“. Bukiety przez nią wzgardzone, zwiędłe, zapomniane...

Jeden z nich, oprócz zwykłej karteczki miał przypięty list, którego Rajmunda nie była zauważyła. List ten po południu otworzony przez sędziego śledczego, zawierał dziesięć stron próśb, zaklęć, obietnic, gróźb, słów rozpaczy, wybuchy miłości, która stale była wzgardzona i odepchnięta.

List kończył się temi słowy: „Przyjdę we wtorek „w wieczór, Rajmundo. Namyśl się do tego dnia. Co do mnie, „nie chcę dłużej czekać. Jestem na wszystko zdecydowany“.

W ten sam wtorek w wieczór Beautrelet uwolnił pannę de Saint-Véran.

Na początku października Beautrelet wrócił na uniwersytet, aby kończyć rozpoczęte kursa i przygotować się do egzaminu. Życie jego toczyło się znowu cicho i spokojnie. Cóż bowiem mogło się stać? Przecież walka była skończona.

Lupin musiał mieć jasne pojęcie o swej porażce, nie zostawało mu nic innego jak pogodzić się z losem, co też uczynił, gdyż pewnego dnia Ganimard i Holmes znowu się zjawili. Powrót ich był bardzo prozaiczny. Znaleziono ich uśpionych, skrępowanych i zakneblowanych na bulwarze Orfèvres, naprzeciw prefektury policyi. Po tygodniowem oszołomieniu, powrócili do swoich zajęć i opowiadali — właściwie tylko Ganimard, gdyż Holmes zaciął się w milczeniu — że odbył na jachcie „Hirondelle“ w około Afryki podróż nadzwyczaj przyjemną i pouczającą, podczas której uważał się zupełnie wolnym, z wyjątkiem godzin, które przepędzał w zamkniętej kajucie, gdy załoga wstępowała do portów.

Co się zaś tyczy złożenia ich na bulwarze Orfèvres, to sobie nic nie przypomina, musiał być kilka dni przedtem uśpiony.

Uwolnienie obydwóch więźniów, było niejako złożeniem broni ze strony Arsena Lupin.

Jeszcze jedno zdarzenie świadczyło jasno o poddaniu się jego, mianowicie zaręczyny Ludwika Valméras z panną de Saint-Véran. Stosunki bowiem, w jakich żyli młodzi ludzie spowodowały między nimi pewną zażyłość, która z czasem przemieniła się w miłość.

Ludwikowi Valméras podobał się urok trochę melancholicznej Rajmundy, ona zaś, doświadczona życiem, pragnęła jakiejś opieki. To też zajęcie się nią Ludwika Valméras

i udział, jaki brał w uwolnieniu jej, podziałały kojąco na jej zbolałą duszę.

Dnia ślubu oczekiwano z pewnym niepokojem. Czy Lupin nie będzie chciał odbić narzeczonej? Czy spokojnie przyjmie zrządzenie losu, który go na zawsze rozłączy z ukochaną? Dwa lub trzy razy zauważono jakieś nieznane osoby, które śledziły wilę, w której mieszkał Ludwik Valméras; jednego nawet razu Valméras musiał się bronić przed napaścią rzekomego pijaka, który doń strzelił, lecz na szczęście kula przeszyła tylko kapelusz. To wszystko. Ślub odbył się spokojnie w oznaczonym dniu i w oznaczonej godzinie i Rajmunda de Saint-Véran stała się panią Valméras.

Zdawało się, że Opatrzność sama była po stronie Izydora Beautrelet, zapewniwszy mu zwycięztwo. Publiczność odczuła to. To też między jego wielbicielami powstała myśl, aby urządzić na jego cześć wielki bankiet. Myśl tę przyjęto ogólnie z entuzyazmem. Rozesłano więc trzysta zaproszeń. Prasa wypisywała hymny pochwalne. Bankiet zaś był tem, czem być obiecywał t. j. apoteozą.

Beautrelet był skromny jak zwykle, trochę zdziwiony, z powodu nieustających oklasków, trochę zażenowany, podczas mów wygłaszanych na jego cześć jako największego i najdzielniejszego detektywa... trochę zażenowany, lecz bardzo wzruszony.

Wzruszenie to wyjawił w kilku słowach, które się ogólnie podobały. Mówił o swej radości i o swej dumie. Panował nad sobą bardzo, a mimo to doznawał chwil niewypowiedzianej rozkoszy. Uśmiechał się do swoich przyjaciół, do kolegów z liceum, do Ludwika Valméras, który przyszedł, aby mu specyalnie powinszować. Uśmiechał się również do pana de Gesvres i do swego ojca.

W chwili, gdy kończył mowę, trzymając kielich w ręce, jakiś hałas wszczął się na drugim końcu sali, i zauważono, że ktoś ostro gestykulował, wywijając dziennikiem. Spokój zapanował wreszcie, lecz ciekawość była tak wielka, że podawano sobie ów dziennik z rąk do rąk. Lecz, kto tylko okiem nań rzucił, wydawał okrzyk zdziwienia.

— Czytajcie! czytajcie! wołano z przeciwnej strony stołu.

Goście siedzący przy pierwszym stole wstali. Starszy pan Beautrelet poszedł po dziennik i podał go synowi.

— Czytaj! czytaj! wołali.

— Słuchajcie! Beautrelet będzie czytał!

— Cicho! — krzyczeli inni.

Beautrelet wstał, zwrócił się do publiczności i szukał oczyma artykułu, który mógł wzbudzić takie zaciekawienie, a spostrzegłszy tytuł, podkreślony niebieskim ołówkiem, wzniósł rękę na znak ciszy i zaczął głośno czytać:

„List otwarty od pana Massiban, członka akademii.

„Panie Dyrektorze!

„Przypadek pozwolił mi odnaleźć małą broszurkę z roku 1815, która nosi tytuł: *„Zagadki historyczne przez M. H..., „starego oficera Ludwika XVI.*

„Tomik ten nie ma wielkiej wartości. Jego zagadki historyczne, są to poprostu legendy, które opisuję nie troszcząc się bynajmniej o prawdę.

„Między innemi znajduje się tam jeden tytuł, który zwrócił moją uwagę, wskutek zajść, które wiążą się z temi dwoma słowami: *„Aiguille creuse* (Wydrążona igła).“

Tutaj głos Izydora Beautrelet zadrżał. Wydrążona igła! Już o niej mówiono w roku 1815! Więc to nie był Lupin...

Czytał dalej:

„Rozdział, który mnie zaciekawił, obejmuje ośmdziesiąt stron, które przepisuję dokładnie, wypuszczając tylko niektóre opisy i konkluzye, które uważam za zbyteczne.

„Wydrążona igła.

„Przeglądając całą epokę Średniego Wieku, a nawet sięgając dalej do czasów gallo-romańskich, znajdujemy w niektórych legendach, pieśniach i kronikach wspomnienie o tajemnicy wydrążonej igły. Nikt nie wie, co właściwie znaczą te słowa, które powtarzane przechodzą z pokolenia na pokolenie. Musi to być ważna tajemnica. To nie ulega najmniejszej wątpliwości.

W trzeciej księdze *Objaśnień Cezara* o wojnie z Galami, opowiada, że po klęsce pod Viridovix, dowózca Celtów przyprowadzony przed Cezara, w zamian okupu wyjawił mu sekret „o igle“...

„Grzegorz z Tours w swej *Historyi Francyi* opisuje, że biskup Pretextalus przyznał się w procesie, że udzielił Merowingowi i jego nieszczęśliwej małżonce Brunhildzie zapomogi pieniężnej i „igłę“ — która mogła ich była wyratować, jak dowodzi Grzegorz z Tours, nie podając bliższych wyjaśnień...

„W akcie zawarcia pokoju w Saint-Clair-sur-Epte między Karolem Skromnym a Rollem, przywódzca barbarzyńców północnych, czytamy tegoż tytuły między którymi znajduje się posiadacz sekretu igły...

„W *Kronice saskiej,* na 134 stronie, mówiąc o Wilhelmie Zdobywcu, opowiada, że chorągiew jego kończyła się bardzo śpiczato, mając wyżłobienie podobne jak igła...

„Henryk Plantagenet, wydając ukaz do narodu, podpisuje się: posiadacz sekretu...

„W aktach kościoła Saint-Quen czytamy, że jeżeli Jan bez Ziemi kazał zamordować synowca swego Artura, to tylko dla tego, że posądzał go, iż posiada pergamin, w którym jest opisany najkorzystniejszy z sekretów...

„Z przesłuchów Joanny d'Arc dowiadujemy się, że oświadczyła, iż musi powierzyć królowi Francyi wielki sekret. Na to odpowiedział sędzia: „Tak, wiemy, o co chodzi, i dlatego to, Joanno, umrzesz“...

„Od tego czasu począwszy, aluzye takie są coraz częstsze, lecz coraz mniej wyraźne, a zawsze są w połączeniu z imieniem króla.

„Filip de Commines wspomina o tem, pisząc o Ludwiku XI, później Sully w połączeniu z imieniem Henryka IV.

„Franciszek I w roku 1520, zwracając się do notablów w Hawrze, przytacza zdanie, które powtórzył dziennik w Honfleur: „Królowie Francyi znają sekret, który często „wpływa na bieg spraw publicznych i na los miast“.

„Dochodzimy w końcu do najciekawszego zdarzenia tej historyi. Dnia 17-go marca 1679 roku wyszła mała książeczka pod tytułem:

„Tajemnica o wydrążonej igie.“

„Cała prawda wyjawiona po raz pierwszy. — sto „egzemplarzy drukowanych przezemnie, ku poinformowaniu „dworu.

„Tego dnia o dziewiątej godzinie rano, młody jakiś człowiek, przyzwoicie ubrany, chciał rozdać kilka książek najwybitniejszym osobom dworu. Gdy już cztery rozdał, około godziny dziesiątej, został aresztowany przez kapitana gwardyi, który zaprowadziwszy go do gabinetu króla, opuścił go zaraz, aby odebrać cztery rozdane egzemplarze.

„Gdy wszystkie sto egzemplarzy zebrano, policzono, i sprawdzając, przejrzano, król własnoręcznie wrzucił je w piec i spalił z wyjątkiem jednego, który schował dla siebie.

„I nigdy nie poznanoby prawdy, a przynajmniej jej małej cząstki, gdyby przy tej egzekucyi nie był obecny ów kapitan gwardyi, który zdjęty pokusą, za plecami króla, jeden egzemplarz wyjął z kominka, zanim go ogień zdołał pochłonąć.

„Otóż kapitan ten był ojcem mojego pradziadka. W papierach familijnych, które znajdują się u mnie, znalazłem ustęp, który opisuje dokładnie powyższe zajście. Opowiada, że chodzi tu o sekret znany królom Anglii, którzy utracili go z chwilą, gdy korona biednego obłąkanego Henryka VI przeszła na księcia York. Sekret ten wyjawiła Joanna d'Arc królowi francuskiemu Karolowi VII.

Odtąd staje się sekretem stanu, przechodził z panującego na panującego w liście zapieczętowanym, który znajdowano na łożu śmierci z następującym napisem: „Dla króla Francyi".

„Mój prapradziad dodaje, że ów młody człowiek, autor książeczki, znany był Ludwikowi XIV, lecz ze sobą nie przemówili słowa. Po dokonanem spaleniu ten sam kapitan gwardyi miał rozkaz zaprowadzenia go do pana de Saint-Mars, który kazał go wtrącić do więzienia najpierw w Pignerot, a następnie wywieźć na wyspę Sainte-Margueritte. Przodek mój nie wpomina nic więcej o tym młodzieńcu, lecz zdaje się, że to będzie ów sławny człowiek o Żelaznej masce.

„Nic nie wpomina również o książce, którą wyrwał z płomieni. Czy dlatego, że przeczytawszy ją, uznał, że sekretu o igle dobry obywatel wyjawić nie powinien? Nic nam nie podaje powodów milczenia. Lecz cóż stało się z ową książką? Ani mój ojciec ani mój dziad nigdy mi o niej nie wspominali, a moje poszukwania w tym kierunku nie odniosły pożądanego skutku.

„W sześć miesięcy później znaleziono mojego przodka zamordowanego na szosie między Gaillon a Mantes. Zabójcy odarli go z odzieży, zostawiając przez zapomnienie klejnot ukryty w prawym bucie, który później znaleziono. Skąd pochodził dyament ten najczystszej wody? Któż był zabójcą? Tajemnica.

„Co zaś do mnie, mogę zaręczyć, że nie zwróciłbym nigdy uwagi na te awantury, gdyby nie przypadek, w którym sam odgrywałem pewną rolę.

„Najpierw muszę jeszcze dodać, że chociaż szanowałem tradycye i opinię rodziny, nie chciałem ojcu towarzyszyć w emigracyi, i wstąpiłem do armii francuskiej. Ranny pod Jemmapes, musiałem wrócić do Paryża, i aby żyć, chwytać się rozmaitych rzemiosł, które nie zawsze mi się podobały.

„W roku 1793 należałem do oficerów, mających rozkaz pilnować Templu, w którym była uwięziona rodzina królewska. Jednego wieczora było nas kilku w pobliżu króla, temu zaś przyszła chęć rozmowy. Pytał się więc o nasze nazwiska i jakie zamiary mamy na przyszłość.

„Powiedziałem i ja moje nazwisko, i widziałem wyraźnie po poruszeniu się twarzy królewskiej, że nazwisko moje nie jest królowi obce. Po chwili zapytał mnie:

„— Czy nie miałeś pan jakiego przodka, który za Ludwika XIV. służył jako kapitan?

„— Tak, Najjaśniejszy Panie.

„— Ah! szepnął król.

„To było wszystko. Lecz, na trzeci dzień, mając okazyę mówić ze mną sam na sam, rzekł szybko i głosem zmienionym:

„— Gdybym pana prosił o przysługę, czy...

„Zawahał się. Dokończyłem jego zdanie.

„— Czybym nie zdradził? Oh! sire...

„Patrzał na mnie kilka sekund, wreszcie rzekł:

„— Chciałbym dać polecenie do królowej.

„— Wszystko co będzie w mojej mocy, to zrobię, sire.

„— Dobrze... dobrze... musisz coś wręczyć królowej... widujesz ją pan czasem?

„— Tak, sire.

„— Po mojej śmierci wręczysz jej ten papier...

„Wydobył z kieszeni małą książeczkę, z której wyrwał kilka ostatnich kartek.

„— Nie, lepiej, że odpiszę...

„Wziął arkusz papieru, z którego udarł kawałek czworograniaty, na który przepisał pięć wierszy kropek, liter i cyfr, które były drukowane w książce. Następnie wydarte kartki spalił, a złożywszy zapisany arkusz, zapieczętował czerwonym lakiem i podał mi go.

„— Oddasz to królowej i powiesz: „Od króla, pani... dla Waszej królewskiej Mości i dla jej syna..." Jeżeli zaś nie zrozumie...

„Powtórzył po cichu:

„— Królowa zrozumie...

„Zaczął przeglądać książkę w zamyśleniu, następnie, jak gdyby się nagle zdecydował, rzucił książkę w dogasający ogień, a utkwiwszy weń wzrok smutny, patrzał tak długo, aż z owej książki pozostała tylko garść popiołu.

„W dniu 21-ym stycznia wyprowadzono króla na rusztowanie.

„Upłynęły dwa miesiące nim dotarłem do królowej, aby spełnić polecenie. Za pomocą najrozmaitszych intryg, doprowadziłem do tego, że mnie znowu wyznaczono do nadzoru rodziny królewskiej. Jakoż w kilka dni stanąłem przed królową Maryą Antoniną.

„Nie byliśmy sami, musiałem więc być nadzwyczaj ostrożny. Obróciwszy się tyłem do dozorców, rzekłem do królowej tak cicho, że tylko ona mogła mnie słyszeć:

„— Pani, to od zmarłego króla a męża Twego.

„Najlżejszy cień zdziwienia nie przeszedł po jej twarzy. Podniosła tylko głowę i zdawała się mnie obserwować.

„— Dla Waszej Królewskiej Mości i dla jej syna, uzupełniłem.

„I podałem jej list zapieczętowany.

„Upewniwszy się, że żaden z dozorców nie mógł jej widzieć, złamała pieczęć, a ujrzawszy co zawierał, zadziwiła się, lecz po chwili zdawała się rozumieć.

„Uśmiechnęła się gorżko i dosłyszałem te słowa:

„— Czemu tak późno?...

„Zawahała się. Gdzie schować ten niebezpieczny dokument? W końcu otworzywszy książkę rozmyślań, wsunęła papier w torebkę, znajdującą się między skórką oprawy a pergaminem, który ją okrywał.

„Prawie, że niepostrzegalnym znakiem podziękowała mi, lecz spojrzenie było tak smutne i słodkie, że wynagrodziło mi wszelkie podjęte trudy.

„— Dlaczego tak późno?... rzekła...

„Jest prawdopodobnem, w rzeczy samej, że dokument ten, chociażby nawet mógł, jak sądzę, ją wyratować, przybył zapóźno, gdyż we wrześniu tegoż roku Marya Antonina złożyła głowę na rusztowaniu.

„Otóż cała rola jaką odegrałem w tajemnicy „wydrążonej igły". Lecz, wiedziałem przynajmniej to, co nikt nie wiedział, że istnieje jakaś tajemnica. To też, gdy w kilka lat później, odnalazłem w papierach familijnych notatkę zapisaną przez mego prapradziada, nie było rzeczą trudną ułożyć wszystkiego w pewną całość, którą powyżej opisałem.

„Lecz od tego czasu miałem tylko jedno pragnienie zgłębienia owej tajemnicy, której poświęcałem mój wolny czas. Czytałem więc autorów łacińskich, przejrzałem wszystkie kroniki Francyi i państw graniczących, szperałem po klasztorach, wertowałem akta świeckie i kościelne, akta zawarcia pokojów itd. i w ten to sposób wynalazłem wyżej wspomniane wzmianki.

„Lecz nie odkryłem żadnej nowej wskazówki. Chociaż tak, jedną jedyną — i to w przypadkowy sposób.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wśród walki z losem.

20) Wolny przekład z angielskiego przez **S. B.**

(Ciąg dalszy.)

— Nie wpuszczaj go do niej, matko, błagam cię. Jak zacznie rozwodzić skargi i żale, to gotów zniweczyć ostatni promyk nadziei. Och, matko, oby ona tylko nie umarła!

— Mam w Bogu nadzieję, że żyć będzie.

— Bywaj zdrowa, matko. Pisuj do mnie co dzień choćby tylko kilka słów.

Wyszedł spiesznie i drogą wiodącą przez las obok dworku gajowego poszedł wolnym krokiem w stronę Hernley-hall.

Zjawienie się Walentego Merrick w Hernley było nie małą niespodzianką. Zapytania, dla czego przyjechał, wyrzuty, gdy oświadczył, że tylko godzinę zabawić może posypały się na niego jak grad. Pytania zbywał krótko, a wyrzuty starał się w żart obrócić, lecz usposobienie jego nie było wesołem, czuć w niem było przymus. Od chwili, gdy tajemnica została wyjaśnioną, Percy był znów napowrót jego najszczerszym przyjacielem, ale Walentemu bynajmniej teraz na jego przyjaźni nie zależało, i towarzystwa jego widocznie starał się unikać. Wiedział bowiem, że zacznie mu zaraz opowiadać na nowo wszystko o zeznaniach mrs. Graves, o jej śmierci w więzieniu, zanim ją przed sądem stawiono, ale Walenty nie byłby w stanie słuchać teraz tego wszystkiego, a powierzać mu swe własne troski nie miał też ochoty. Wreszcie domyślono się, że Walenty mogąc tylko krótki czas zabawić, radby go zapewne przepędził sam na sam z Florą, powynosili się jeden po drugim, zostawiając ich samych na terasie, jak owego wieczora, gdy ją zapytał, czy chce zostać jego żoną. Narzeczeni przechadzali się tam i napowrót, a Flora uczepiwszy się obu rękami jego ramienia, patrzyła mu w oczy z miłością. W głębi duszy porównywał ją z ową kobietą, która tam leżała złożona śmiertelną chorobą i zapytywał sam siebie, czy taki kwitnący blask zdrowia, jaki zdobi lica tej tu, zakwitnie jeszcze kiedykolwiek na obliczu tamtej. Jakiż kontrast pomiędzy tą, która wrzała całą pełnią życia, a tamtą, która gasła powoli. Tak, Helena Barklay zajmowała wyłącznie jego duszę. Nie ukrywał tego bynajmniej, lecz począł mówić o niej skoro tylko pozostali sami.

— Nie musisz tak sobie nabijać głowy, Walku, bo cię to zupełnie zdenerwuje.

— Stało się to już. Od dawna sam siebie nie poznaję. Przed dwoma dniami, gdym pracował w mojem biurze, przyszło mi nagle na myśl, że ona umarła, i zdawało mi się, że musi się zjawić w mym pokoju i zająć miejsce obok mnie.

— Musiałeś zbyt usilnie pracować.

— Usilna praca wychodziła mi zawsze na dobre i teraz będzie tak samo, gdy nie będzie dręczyła mię myśl, że ona mi nie przebaczyła.

— Pomyśleć tylko, że Percy i ja mieliśmy słuszność, a uczony adwokat był najzupełniej w błędzie — rzekła Flora, chcąc rozmowie lżejszy ton nadać. — Jeszcze się później doskonale z tego uśmiejemy.

— Rzecz ta nie będzie dla mnie nigdy przedmiotem wesołości — odrzekł Walenty z powagą. — Ona nie powinna nikomu dawać materyi do śmiechu. Zapominasz nieszczęść, jakie z tego wynikły.

— Przebacz, Walku, chciałam tylko, abyś się uśmiechnął. Tak strasznie poważnym się stałeś i całkiem do dawnego niepodobnym.

— Alboż cię nie smuci ciężka choroba Heleny Barklay? — zapytał zdziwiony.

— Naturalnie, bardzo, ale znów nie aż do tego stopnia.

— A twego brata, Percego

— O, tego zaledwo widzieć teraz można; jak duch jaki błąka się wciąż około Weddercombe. Chodzi tam dowiadywać się dwa razy na dzień, a dwadzieścia razy posela służącego.

— Jeżeli ona żyć będzie, czy ożeni się z nią?

— Myślę, ale nie wiem, czy ojciec pozwoli.

— Sir Charles nic do tego nie ma, Percy jest najzupełniejszym panem swych czynności, a Helena Barklay godna zostać żoną księcia — rzekł Walenty z ogniem.

— Percy myśli tak samo, i jeżeli mrs. Barklay powie: „tak“, a mam nadzieję, że drugi raz nie powie: „nie“, to sądzę, że Percy nie wiele będzie zważał na ojca.

— Zapewne, jeżeli przy życiu pozostanie i skoro odzyska zdrowie. Ale dzisiaj śmierć patrzała z jej oczu.

— Widziałeś ją?

— Tak, widziałem, przyjechałem po to naumyślnie z Londynu.

— Nie dla mnie. — O, Walenty, sam mi to mówisz i masz nadzieję uzyskać przebaczenie.

— Ale Walenty nie roześmiał się, twarz jego pozostała smutną i poważną. Nie mógł zapomnieć tej wybladłej postaci, która zdawała się nie należeć już do ziemi, spojrzenie tych ciemnych oczu ścigało go na każdem miejscu i bezustannie brzmiał mu w uszach cichy dźwięk jej mdlejącego głosu. Opowiedział Florze słowo w słowo rozmowę jaką miał z Heleną.

— Będzie mię mogła jutro przyjąć?—ozwała się Flora, gdy Walenty skończył. Byłabym chętnie pomagała twej matce w pielęgnowaniu Heleny, ale sądziła, żem do tego za młoda i zbyt żywa.

— Moja matka ma słuszność — odpowiedział Walenty ściskając jej ręce, które na jego ramieniu spoczywały .— Gdy Helena Barklay przyjdzie do zdrowia i odzyska siły, wtedy twoje towarzystwo będzie dla niej bardzo zbawiennem.

— Cieszę się na to — rzekła Flora. — Będę ją rozweselała i zrobię wszystko, co tylko będzie w mej mocy, bo ją od pierwszego widzenia pokochałam.

— To nic nadzwyczajnego.

Walenty Merrick powrócił do Londynu, a Flora dotrzymała przyrzeczenia.

W dwa tygodnie po swej krótkiej wizycie w Weddercombe otrzymał adwokat list od matki, w którym donosiła mu, że Helena wyszła z niebezpieczeństwa i zaraz odwrotną pocztą posłał jej odpowiedź, do której załączył powinszowa-

nia dla rekonwalescentki. Był to list pełen dawnego humoru i energii, która w ostatnich czasach całkiem go opuściła. Wyzdrowienie Heleny zdjęło mu widocznie wielki ciężar z serca. Nie możesz sobie wyobrazić — pisał — jak się czuję szczęśliwym i jak mi lekko na sercu, gdy mam pewność, że nie stałem się jej zabójcą. Wyśpiewuję jak najweselsze pieśni, gdy przeglądam me akta, którym powinienem poświęcić całą mą uwagę, a do czego nie znajduję teraz ani odrobiny zmysłu w mej głowie.

— Dziwnem mi się wydaje, iż ktoś się cieszyć może, że nie umarłam,mianowicie też on — mówiła Helena w zamyśleniu.

— Czy pragnęłaś umrzeć Heleno?

— Tak, nie rozumiem, po co ja mam żyć?

— Po co? Dla naszych przyjaciół, dla szczęścia, dla niego może — mówiła mrs. Merrick wskazując Percego, który nadchodził z Florą.

— Nie, nie. To nigdy nie nastąpi. On wie to także. Nie mów mi tego więcej, moja droga, droga przyjaciółko, pocieszycielko i opiekunko.

— Ależ kochana Heleno; on jest pięknym i zacnym człowiekiem i kocha cię gorąco. Flora powiada...

— Nie mów mi, proszę, co powiada Flora — prosiła. — Nie pójdę więcej za mąż. Już oddawna postanowiłam to sobie, a po mym powrocie do zdrowia utwierdziłam się jeszcze mocniej w tem postanowieniu.

Wejście gości położyło koniec tej rozmowie. Zjawienie się Flory było jakoby promień słońca w posępnych komnatach Weddercombe.

— Heleno — zawołała Flora zaraz na wstępie — mówiłam dzisiaj z dr. Dimford i powiedział mi, że za tydzień będziesz już miała dość siły, aby znieść zmianę klimatu. Musisz przyjechać do Hernley, a potem odbędziesz z nami podróż za granicę. Mówiłam o tem z ojcem, a on zgadza się na wszystko, więc — o, nie potrzebujesz potrząsać głową, tak sobie postanowiłam i od tego nie odstąpię.

— Tak, otrzymałam pozwolenie,że mogę wyjechać — rzekła Helena ściskając dłoń przyjaciółki i zaraz w następnym tygodniu skorzystam z niego.

— Doskonale, Heleno, ale czy przypuszczasz na seryo, jako rozsądna kobieta, że mnie się tak łatwo pozbędziesz? Czy wolno zapytać, co zamyślasz?

— Jeszcze nic pewnego nie postanowiłam.

— Masz przecie coś na myśli, widzę to. Dalej, wyspowiadaj mi się.

— Tak jest, mam.

— No i cóż takiego?

— Jeszcze o tem do nikogo nie wspomniałam.

— A moja niegodna osobistość, czy została także uwzględnioną?

— Twoi rodzice....

— Nie zabronią, skoro ja chcieć będę. Faktem jest — ciągnęła dalej Flora, — że od mego czcigodnego mistrza, Walentego Merrick otrzymałam bardzo stanowczy rozkaz, by cię jak najczęściej odwiedzać i raczyć cię mem rozkosznem towarzystwem, a ponieważ rozkaz ten najkompletniej odpowiada mym własnym życzeniom, przeto nie możesz mi się wywinąć.

— Czy w rzeczy samej dałam jej jakie polecenie, czy też ona żartowała? — mówiła Helena, gdy brat i siostra odeszli. — Nie można nigdy wiedzieć, czy żartuje, czy też mówi na seryo. Co to za szczęśliwa, słoneczna natura.

Myślę, że prosił Florę, by cię jak najczęściej odwiedzała.

— On, który mi swą zemstą groził, gdybym się ośmieliła utrzymywać z nią stosunki. Jakże zmiennem jest wszystko na tym świecie.

— Tak, wszystko na świecie jest zmiennem, moja droga.

— I mnie niezadługo czeka zmiana, gdy pani odjedziesz, a ja pozostanę tutaj sama.

— Nie będziesz tu przecie mieszkała? — zapytała mrs. Merrick. — To nieprzyjemne miejsce i zupełnie nieodpowiednie dla młodej osoby.

— Nie wiem, dokądbym się udać miała. To moje schronienie, jakkolwiek utraciłam tutaj tę, która — ach, nie powinnam myśleć o tem — zawołała Helena, ukrywając twarz w dłoniach.

— Myślałam wiele o twej przyszłości — mówiła mrs. Merrick.

— I cóżeś wymyśliła dla mnie?

— Nie przyszłam jeszcze do żadnego rezultatu, — drogie dziecko.

— Wiedziałam to dobrze.

— Nie możesz się jednak całkowicie usuwać od świata. Trzeba się starać zjednać sobie przyjaciół.

— Czy mogę mówić otwarcie? — spytała Helena.

— Naturalnie.

— Co pani sądzisz o mnie?

— Ja — kochana Heleno — jąkała mrs. Merrick zakłopotana nieco tem bezwzględnem pytaniem.

— Tak, ty pani, która patrzyłaś na mnie całe tygodnie pielęgnując mię jak miłosierny samarytanin znalezionego na drodze wędrowca. Jestemże ja kobietą, którąbyś z czasem mogła pokochać? — dodała nieśmiało.

— Moja droga, ukochana Heleno, ależ ty jesteś prawdziwym aniołem.

— Ale nie jestem taka, jak inne kobiety, jak Flora naprzykład. Wpływy przeszłości zbyt były silne.

— Jeżeli przebyte próby nie przeszły po tobie bez śladu, nie dozwoliły jednakże skamienieć twemu sercu i nie odjęły możności być kochaną.

— A jednak dotychczas nikt mnie jeszcze nie pokochał.

— Czyż nie przypuszczasz, abym ja cię choć cokolwiek pokochała? — spytała mrs. Merrick z czułością ujmując jej rękę.

— Nie wiem.

— Pozwólże mi więc powiedzieć ci, że cię bardzo, bardzo kocham — mówiła. — Czy sądzisz, że pielęgnując cię tak długo, patrząc na twe cierpienia, które z takim spokojem znosiłaś, mogłoby nie przylgnąć do ciebie moje stare serce?

— O, jakże mię to uszczęśliwia! — zawołała Helena z wdzięcznością ściskając ręce starej kobiety. — Jakże gorąco pragnę, byś mię przyjęła do siebie, byś podzieliła ze mną twe dalsze życie i pozwoliła mi zastąpić ci córkę, którą ci śmierć tak wcześnie zabrała.

— Moja droga Heleno, rzecz ta wymaga głębszego namysłu.

— Ty zawsze, prawie, jesteś samą, niezadługo syn twój poślubi miss Andison, nie będzie więc już należał do ciebie wyłącznie. — Wtedy moglibyśmy wspólnie zamieszkać.

— Kochane dziecię, to są marzenia, które się urzeczywistnić nie dadzą. Tyś młoda i bogata, jam stara i uboga; niezadługo sprzykrzyłby ci się skromny domek, jakibym ci ofiarować mogła.

— Nie odmawiaj mi, droga przyjaciółko, chciej tylko szczerze, a wszystko będzie dobrze.

— Jeżeli tego tak gorąco pragniesz, ja się zgadzam.

Tak więc ułożonem zostało, że Helena i mrs. Merrick zamieszkają razem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty!

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für die Monate Februar-März die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,00 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,00 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den .... 1910.

Kaiserl. Post..............................

Rodzicom i Opiekunom polecamy nasz 49

pensyonat

dla młodzieży żeńskiej, uczęszczającej do szkół miejscowych lub mającej kształcić się prywatnie bądź w kółkach, bądź osobno.
Warunki przystępne. Bliższe szczegóły na żądanie.

Helena i Anna Rzepeckie

egzaminowane nauczycielki wyższych szkół żeńskich.
Poznań, św. Marcin 9.



Ul. Bismarka I. Tel. 2286.

Zieloni kołownicy.

Członek Stowarzyszeń posłańców pospiesznych w Dreźnie.
Bardzo szybkie załatwianie
wszelkich posyłek.
Odnoszenie i przynoszenie
kufrów i paczek.
Ceny umiarkowane. 552



MEBLE! MEBLE!

Całe pokoje sypialne, mieszkalne, jadalne, salony, pokoje do pracy
po cenach najniższych
14 poleca

S. Krąkowski, Poznań

ulica Podgórna 8.

Dr. Maryan Kryzan

inżynier i rzecznik patentowy.
(Patenty, znaki ochronne itd.) 375
Poznań, ul. Rycerska 33. Telefon 2650.

Wyższa szkoła kroju Zofii Szuman

przy ul. Wilhelmowskiej 19.

Oddzielne kursa dla chcących fachowo pracować.
Oddzielne dla uczących się do własnego użytku. 306

Prospekta na żądanie bezpłatnie.

Meble

po jak najniższych cenach **li tylko rzetelny towar.**

W. Mierkiewicz 271

Mistrz stolarski
W. Garbary 40
(narożnik Grobli.)
Przystanek koleji elektr

Zakład dentystyczny.

Praktykuje od r. 1889.
Wprawianie sztucznych zębów.
Plomby.
Zatruwanie nerwów i leczenie chorych zębów. 607

J. Czerwiński

Poznań, św. Marcin 53.
Dom ogrodowy I p.



Jedyna jeneralna agentura

i główny skład

S. Żychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze. 301

B. Bąkowski

Poznań W. 6, ul. W. Berlińska 65.
Jedyna polska fabryka
okien inspektowych.
Wielki zapas gotowych okien na składzie.
Hurtowny handel szkła.
Cenniki na życzenie franko. 393

Dobra egzystencya!

Biegły kupiec, posiadający gotówki około 10—15 tys. marek, może przejąć bardzo korzystny interes **w Gnieźnie** w bliskości rynku, a składający się z **destylacyi, restauracyi z największym zajazdem** dla okolicznych gospodarzy, handlu korzennego i **browaru** piwa pojedyńczego. Ostatni jest od roku do roku wydzierżawiony i ma doskonałe powodzenie. Wszystko to razem wraz z domem **przynoszącym przeszło 6000** mk rocznej dzierżawy, można nabyć z zaliczką 10—15 tys mk., jeżeli kupujący okaże się zdolnym i energicznym kupcem; w takim razie powierzy mu się filia poznańskiego bardzo rentującego się interesu. Łask. oferty przyjm. ekspedycya tego pisma pod nr. **449.**

Polecamy następujące książki:

(Towarzystwom, które chcą zakupić całą kolekcyą do swej biblioteki dajemy 15% rabatu.)

	Cena franco.
Tadeusz Rejtan. Wspomnienie historyczne z illustracyami. Napisała Jadwiga Strokowa	Mk. 0,40
Franciszkanie i Bernardyni w Nowem nad Wisłą. Przyczynki do historyi południowego Pomorza. Nap. Konstanty Kościński . . .	„ 0 40
Jaka siejba — takie żniwo. Obrazek ludowy współczesny w 6 odsłonach ze śpiewami. Nap. Szczęsny Ostoja	„ 0,40
Głowa za głowę. Nowelka z za kordonu	„ 0,15
„Pamięci Adama Mickiewicza." Nap ks Leon Formanowicz . . .	„ 0.15
Na skrzydłach Ikara. Powieść narodowa na tle powstania roku 1863. Napisała Stefania Tuchołkowa . .	„ 1,50

Telefon 97.

Księgarnia Nakładowa „Pracy"

Sp. z o. p.
POZNAŃ
Rycerska 38.

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia „Pracy“

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.